





ZBIÓR POWIEŚCI
J. I. Kraszewskiego.

Wydanie nowe, przejrane, poprawione i uporządkowane przez autora.

Ogólnego zbioru tom trzeci.

1878-1879

1879-1880

1880-1881

1881-1882

1882-1883

1883-1884

1884-1885

1885-1886

1886-1887

1887-1888

1888-1889

1889-1890

DWA ŚWIATY

POWIEŚĆ

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

Z portretem autora.



Widziałem wszystko co się dzieje pod słońcem,
a oto wszystko marność i utrapienie ducha.

Ekklesiastes R. I. w. 14.

Każdy z nas dźwiga swe brzemię..

Anonym.

Wydanie nowe, przejrane i poprawione przez autora.

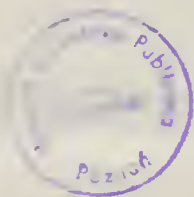
TOM III.

Edmund Tramczyński;

LWÓW,

W księgarni Gubrynowicza i Schmidta
przy placu św. Ducha l. 43.

1872.



Nakładem Rogosza, Pillera i Gubrynowicza & Schmidta.
Drukiem Kornela Pillera.

I.

Wyjechawszy z Szury, Julian i Aleksy długo nie przemówili słowa do siebie; każdy z nich myślał jeszcze o starcu, który ich przejął tak głęboko, każdy miał wiele do rozważania w sobie, usiłując pogodzić wyobrażenia własne z temi, co się nagle do nich z taką potęgą wmieszały. Żywioł obcy zawsze w nas budzi ten niepokój duszny, trwający dopóki go nie zwalczymy lub nie zespolim z tłem naszym osobistym; myśl jest jak w świecie materji czynnik chemiczny, który burzy, osadza, przeistacza, zobojętnia, lecz nigdy nie przelewa się przez nas bez skutku, chyba zupełnie jest z tem co w sobie mamy, jednorodny. Aleksy i Julian zarówno nie mogli przyjąć w całości tego szeregu wyobrażeń, które na nich spadły z ust starca; oba usiłowali wywalczyć w sobie jakieś przekonanie pośrednie, któreby im pojęcie pana Atanazego wytłumaczyło, i połączyło je ogniwem jakimś z ich własnem o świecie wyobrażeniem.

Na pół drogi do Karlina, Julian wyszedł nareszcie z zadumania, obudził się Aleksy, spojrzeli na siebie i otworzyli się im usta.

— Jakże znajdujesz mojego stryja? — zapytał młody człowiek.

— Zastanawiającą i niepospolitą postacią; przyznani ci się, że jeszcze rozbieram i ważę to com od niego słyszał, jeszcze mi stoi w oczach i myśli ten poważny starzec.

— Prezes, rzekł Julian uśmiechając się — sam dosyć pan w głębi duszy, zowie go nie inaczej jak *arystokratę w Chrystusie*; jest to może dowcipne...

— Ale za lekkie na sąd o takim człowieku, przerwał Aleksy... Jego wiara w przeznaczenie rodzin, w ich posłannictwo... nie zgadza się może całkowicie z przekonaniem mojem, lecz co przeciw niej powiedzieć można? Wolę to pojęcie niż takie, jakiego się domyślałam w prezecie. U pana Atanazego jest przynajmniej jedno, jest punkt, na którym schodzą się wszyscy: to sprawa zbawienia i wiary... Prezes może i w kościele nieszlachetnie postawiłby w progu i kazalby się jej modlić po cichu, żeby panom nie przeszkadzała... Zresztą, w dzisiejszym stanie społecznym, i zdaje mi się we wszelkim innym, jaki pojmujemy, obejść się bez wyższości niepodobna... geniusz jest zawsze arystokratycznej natury... chciałby zniwelować ludzkość umysłowo, sercowo, duchownie, jest to włożyć na nią cięższe daleko kajdany nad wszelkie inne, jakie dziś dźwiga i włożyć je niesłusznie... Jak nie rozumiem wyłączeń dla przyczyn rodowych, dla pierwotnego grzechu pochodzenia, tak nie pojmuję znowu szalonej i dzikiej myśli niwelacyjnej, której geniusz nie cierpi i wybija się z niej koniecznie.

— Pokazuje się, kochany Aleksy, żeś ty daleko większy arystokrata odemnie, rzekł uśmiechając się Julian — ja ze stryjem Atanazym nie godzę się na posłannictwo rodów, a prędzej przypuszczam misję indywidualne, do których powołują dary boże, geniusz, serce, wola... Dla-

czego naprzykład ten stryj chce mnie uczynić niewolnikiem mojej przeszłości, chce mnie zmusić do poświęcenia dla imienia, dla grobów przodków, dla jakiejś wielkości, której nie żądam? Za co mnie skazuje na wyrzeczenie się woli własnej, swobody ruchów i wyboru mojego losu?...

— Rozumiem cię, zawołał Aleksy uśmiechając się także — tybyś chciał marzyć, spoczywać, używać... a boisz się pracy...

— Nie! ale, w sercu to czuję, niezdolny do niej; winienem-że, że się do niej nie urodziłem? A! wiem, wiem, jakbym sobie moje szczęście w cichem, ślicznem gniazdku zbudował... Poła by mi śpiewała i grała, jabym patrzył w jej oczy niebieskie i całował białe jej czoło i pieścił śliczne jej rączkę... a drzewa-by nam szumiały i spokoj-by nas otaczał!

— Julianie! opamiętaj się... to owoc zakazany... szczęście na ziemi! śni ci się! gdzieżeś je widział? stworzeń jesteś do niego? wartoż ubiegać się za tem, co trwać nie może?

— Chwilę szczęścia przeżyć, choćby potem cierpieć życia resztę, pamiątki-by utrzymywały...

— A! młody jesteś Julianie...

— Nie! ale mi srogo, srożej daleko niż tobie cięży niewola, wybuchnął Karliński — kochać mi nie wolno tam gdzie ciągnie serce moje, żyć jak pragnę nie mogę, przyszłości zbudować niepodobna... wszędzie zapory, granice, zakazy... przymus...

— Miarkuj, czy kiedy inaczej może być w życiu?

— A! są szczęśliwi! rzekł Julian... — ty pierwszy... gdybym był tobą...

Aleksy rozśmiał się śmiechem ogromnym, w którym

było wiele wewnętrznej boleści.

— Ja! ja! cóż to tak szczęśliwego upatrzył w moim losie... ubóstwo? Alboż i ja nie jestem niewolnikiem woli matki i jej pojęcia szczęścia i obowiązków? braci, dla których swobody ja się zaprzedać muszę? doli... mojej, doli, w której nie ma środków podźwignienia się? Darniej, powiem ci prawdę, jedna myśl tobą owładła, widzisz we mnie tylko jedno ciągle, człowieka, któremu by pozwolono ożenić się z Polą, któryby mógł być z nią szczęśliwy? nieprawdaż? Ale słuchaj Julianie, jeszcze chyba raz ja ci moją teorię sprawiedliwości bożej wyłożyć muszę... Są posłannictwa różne na świecie, ale Bóg dzieci swoje starsze i młodsze jednakowo oblaźlił; nie pokrzywdził On żadnego, w naturze jaką ich obdarzył leży prawo nie złamane, mocą którego po obrażeniu tego co mamy, co doznajemy, co cierpimy, okazało się zawsze jednakowa suma boleści i szczęścia. Na pozór jest to sofizmat, w rzeczy najświętsza prawda; bez niej świat byłby nie pojęty, a ziemia wszakże jest widocznym obrazem sprawiedliwości bożej w niebiesiech. Na ziemi wszystko jest jak być powinno, zasłużenie i koniecznie, nie w ogólnych losach nie ma do poprawy. Bogatsi, możniejsi, choć na pozór daleko więcej używają tego co ich otacza, przez użycie samo tracą smak i doznają mniej, niżeli się w innem położeniu na nich patrzącym zdawać może. Na umysłowe i cielesne przyjemności nie mają już w końcu otwartych zmysłów, używanie prowadzi za sobą zużycie. W dodatku rozważmy, czy chłód i głód, na który cierpią nędzarze, przykrzejsze są do zniesienia od chorób, od boleści nieuchronionych, na jakie narażeni są wypieszczeni bogatsi? Tym one owszem sroższe są, bo do cierpienia nie przywykli.

Wszystko czego ubogi zazdrości bogatemu, zastępują dla niego w innej formie, inne, lecz ten sam na nim skutek sprawujące rzeczy. Głodnemu chleba kawałek jest najwytowniejszą uczta; zużytemu największy przysmak staje się pospolicitym i niesmakownym. Jeżeli są cierpienia, których bogaty unika, są inne od których go nie nie zasłoni... Zatem wypada, jakom mówił, że suma szczęścia w obu razach jest taż sama, i najuboższy nie ma co najbogatszemu zazdrościć i ani ja... tobie, kochany Julianie, ani ty mnie.

Drugą stroną tej kwestji — dodał Aleksy...

— Mów o drugiej stronie — rzekł Julian, ja potrzebuję zagłębić się w sobie i myśleć.

— Nie wiem czy to się zda na co, bośmy już o niej nieraz mówili; wy gardzicie, lub śmiejecie się z nas, dlatego, że formy waszej, ogłady i obyczajów nie mamy.

— Przyznaję ci chętnie, że pogarda i śmiech nasz są grzechem, dodał Julian.

— Są tylko niedorzecznością — dodał Aleksy; — wy jesteście jak Grecy naprzykład, którzy świat cały barbarami zwali, chociaż pod prostotą barbarzyńców nieraz więcej było życia niż w cywilizacji Greków. Wyższe towarzystwo odrzuca często jeśli nie zawsze ludzi, którzy choćby byli najznakomitsi, nie przypadają do ich barwy... po za łupinę spojrzeć nie chce.

— Co do tego — przerwał Julian, przyznam ci się, że łupina gorzka często bywa, a to co pod nią jest, nie zawsze ją osładza.

— Zgadzam się, ale w wielu ludziach dla powierzchowności i formy, z której się śmiejecie jak dzieci, nie widzicie ich istotnej wartości i wyższości?

— I to bywa...

— Jesteście zbyt wyłączni, a my przykładamy się

także, czcigą jaką dla was mamy, do wzbicia was w niesprawiedliwą dumę... (Zemną prawdą formy ma być w was, a nie we wszystkich po troszę? dla czego wolicie głupca wystrojonego, szebiocącego nieco po francusku, od człowieka co myśli, czuje głęboko, a mówi po prostu i nie stroi się posłuszny modzie...?)

— Na wszystko to zezwalam, rzekł Julian — byleś mi nie kazał kochać twoich sąsiadów w Żerbach i pod ich kurtkami i surdutami szukać i odgadywać wysokiej moralnej wartości!

— Tych ci wszystkich hurtem na holokaust ofiaruję! — odparł śmiejąc się Aleksy.

Byli już nie opodal od Karliua i zdaleka ukazały się mury miasteczka i zameczyska i stare drzewa ogrodu; w ulicy topolanami wysadzonej, która z tej strony okalała część stawu, woźnica nagle powóz zatrzymał. Julian wyjrzał i postrzegł Annę z Polą i służką, które były wyszły na ich spotkanie.

Wysiedli więc natychmiast, a że pora była prześlizczna, wieczór ciepły i wyzywający do przechadzki, razem z paniami się złączyli. Anna uśmiechem powitała brata i przyjacielsko skinieniem głowy pozdrowiła Aleksego: Pola zaczęła od żartu, pokrywając nim może wrażenie, jakiego zawsze, po krótkim nawet rozstaniu, doznawała na widok Juliana.

— Co to jest przecucie siostry! zawołała... wysłaliśmy w porę, żeby panów złapać na drodze i przymusić pobyc z nami dłużej! Wszyscy się rozjechali; panowie pod pozorem odpoczynku poszlibyście osobno sobie o nas nie myśląc, a tak musicie być grzeczni i dotrzymać nam towarzystwa...

Anna uśmiechała się tylko.

A! jak w nowy sposób piękna zjawiała się teraz oczom Aleksego; za każdym razem inną, coraz ją bardziej widział idealną i uroczą, promieniejącą blaskami duszy, która jak lampa w alabastrowe wstawiona naczynie z wnętrza ją rozjaśniała. Ubrana po prostu w białej długiej sukni, podobna była do jednego z tych aniołów na obrazach starych szkół włoskich i niemieckiej, które stojąc u tronu Bożego okryte skrzydlami, w pokorze spuszczały oczy, zdając się wstydić swojego sześcicia i miejsca na jakie zasłużyli w niebiesiech. Smutna, spokojna, z pogodą na czole, uśmiech miała dziecięcy, a w spojrzeniu oczu jej gorzały światy, myśli i uczucia.

Pola, jak zawsze, nieobecnością Juljana podrażniona, z zarumienioną twarzyczką, ze łzawemi oczyma, szukała w wejrzeniu jego nadziei, obawiała się może innym go dzisiaj, niż wczoraj rzuciła zobaczyć. Ale to strach był próżny — Juljan za każdym razem powracał szaleńszy, upojony krótkiem rozstaniem, a oczy jego dość to wyraźnie świadczyły. Położenie tych dwojga istot wiele w sobie miało niezwykłego — Pola kochała pierwszą i namiętną miłością duszy dziewiczej, wiedząc, że serce ciągnie ją do przepaści, nie mając, nie mogąc mieć najmniejszej nadziei; wiedziała, że obowiązek nie dozwoli jej ani ust otworzyć, ani się przybliżyć do Juljana, a uniesiona uczuciem silniejszym nad wolę, szła za niem zamykając dobrowolnie oczy na to, dokąd ją wiodło. Juljan kochał ją do szaleństwa, z przekonaniem ciężkiem, że nigdy jej tego powiedzieć, ani się do niej zbliżyć nie powinien... Szli więc nieopatrzeni, pomimo to, drogą jakiejś fatalności, z nadziejami do których się nie przyznawali, obawiając rozdziału i przeczuwając go codzień.. Oczy ich tylko swobodnie do siebie mówiły.

— Jakże się ma stryj Atanazy? zapytała Anna Juliana i Aleksego razem. Ale Julian w chwili tego zapytania patrzył chciwie na Polę, Pola oczy miała w niego wlepione, usta jego otworzyły się bez dźwięku, nie potrafiły nic odpowiedzieć... Łza drgała na powiece blondynki, choć usta jej się uśmiechały.

Aleksy musiał zastąpić Juliana, który w milczeniu zbliżył się do Poli, i tak z powodu wąskiej nad stawem ścieżynki, rozdzieliwszy się na dwie pary, poszli dalej ponad ogrodem.

— Zastaliśmy pana chorążycza z całym jego dworem,— odparł Aleksy; zdrow jest, ale ja com go pierwszy raz widział, osądzić nie potrafię, czy lepiej jest czy gorzej niż zwykle. Całą noc opowiadał nam historję Karlińskich. całą mszę krzyżem leżał, a dzień następny miał pościć o chlebie i wodzie...

— Dziwnej wytrwałości człowiek! zawołała Anna, poważnie spoglądając na Aleksego, — nie potrzebuje pytać jak się wydał panu?

— Wielką i piękną postacią... mógłże mi się wydać inaczej? Patrzałem na niego z podziwieniem, a myślę dotąd o naszej w Szurze bytności, jak o śnie jakim dziwnym... Z wielką troskliwością i uczuciem dopytywał o panią.

— A! on mnie kocha, o ile serce jego coś ziemskiego kochać może, odpowiedziała Anna, i ja go kocham jak ojca... Jak to przykro tak rzadko, bardzo rzadko się widywać! Jego to słowa wskazały mi drogę życia... z jego ust wzięłam pierwszy pokarm na ciężką podróż moją...

Anna spuściła oczy.

— On jeden, według mnie, dodała zamyślając się jakby

do siebie — rozumiał najlepiej przeznaczenie chrześcijańskiego człowieka, całe złożone z poświęceń bez liku; ale przekonania swego nie mogąc przelać w drugich i świata odmienić, wołał pozostać oderwanym od innych, samotnym i wydawać się nam dziwakiem, niż zaprzeczyć się prawdy... Jest jak przybysz z obcej ziemi, co wśród nas mówi innym jakimś, niepojętym dla nas językiem... Dla mnie to wzór i świętość...

Aleksy słuchał i chwycił każdy wyraz słów Anny: rozmowa rozpoczęta o panu Atanazym zeszła wkrótce na inne przedmioty, a Anna, która na słowo Juljana przywykła już była nważać Aleksego jak przyjaciela domu, dla którego nic nie było tajem, wylała się przed nim szczerze. Tych kilka słów z głębi duszy wyrzeczonych, zbliżyły do niej Aleksego, uniesionego wdzięcznością! On się tak czuł w obec niej małuczkiem, tak był szczęśliwy, gdy mu zwierając się swych myśli, podawała rękę! tak się czuł dźwigniętym wyżej przez nią! Każde jej słowo zobowiązywało go, zachwycało, podnosiło. Anna też co chwila lepiej oceniała człowieka, którego powierzchność przy pierwszym spotkaniu niemile na niej uczyniła wrażenie; starała się wynagrodzić tę omyłkę a znajdując w nim umysł poważny, czując serce przebijające się w każdym słowie, poufała z nim była niżby krótka dozwalała znajomość, rachowała nań już jak na przyjaciela.

Nie myliła się. Aleksy był podbity jej wdziękiem, dobrocią, urokiem, jaki nań rzuciła; cały świat zniknął mu z oczu, gdy patrzył na nią, nawet Żerby, nawet więzy, które go tam przykuwały. W Annie uczucie przyjaźni, z jakim się odzywała, które czuła dla towarzysza Juljana, zrodziło się z potrzeby duszy osamotnio-

nej; rzadko widywała matkę i zrozumianą przez nią być nie mogła; kochała Juliana, ale on dla niej był prawie lizieniem, tak go przywykła pieścić i kryć się przed nim z głębszem uczuciem i mogącą zasmucić go myślą: Pola znów w żart zawsze wesoly obracała wszystko, żeby się nie wydać ze łzami, których pełną miała dusze — pierwszy więc może Aleksy mógł być dla niej powiernikiem i przyjacielem.

Jest przymet w ludziach coś, co jednym o drugich powiada, co ich pociąga i zbliża, choć sobie ani sympatji, ani wstretu wytłumaczyć nie umieją; jakiś instynkt oznajmuje nam nieprzyjaciela, zwiastuje serce, które naszemu odpowiedzieć może, istotę, której pragnąć lub obawiać się mamy. Anna czuła ten pociąg ku Aleksejowi; ale to nie było gwałtowne uczucie ziemskiego pochodzenia, pełne niepokoju, trwogi i zachwytu — była to spokojna, pogodna przyjaźń, na jaką serce jej tylko zdobyć się mogło. Gdy w Aleksym idealna budziła się, czysta i święta, ale niepohamowana miłość, w niej potrzebna zwierzenia i podziału wywoływała tylko ciche jakieś przywiązanie braterskie. Są serca, dla których długo lub na zawsze uczucie wyłącznej, namiętnej miłości pozostanie tajemnicą. Bóg je stworzył, by świat objęły i ukochały wszystko, i nie z tej drogi sprowadzić ich nie może. Takim było serce Anny, którego burza namiętności dosięgnąć nie miała; czekało je przywiązanie łagodne i wielki tylko zawód w przyszłości...

— Julian opisał panu zapewne, mówiła dalej — jakie jest życie nasze... Poczciwy Inlek, on się tak dla nas poświęca! Wieś, cisza i ta praca jego nieustanna, a tak niemiła, niestosowna, wycieńczają go i męczą. Ale dla Emila, dla mnie nic go nie kosztuje... Wiele, wiele jest

boleści i ofiar, których świat nie widzi i nie zobaczy nigdy... Julian jest w moich oczach taką ofiarą.

— Julian przecie nie skarży się i czuje szczęśliwym... odparł Aleksy; cierpienie, gdyby nawet go dotknęło, nie jestże wielkim środkiem udoskonalenia? Opatrzność daje nam ją często jako dar, na którym poznać się nie umiemy.

— I wierz mi pan, że cierpienie ma rozkosz swoją, zawołała Anna, ciche, ukryte, a nświęcone celem jakimś wielkim... Wszystko co jest, jest dobrze! dodała uśmiechając się. — Znasz pan położenie nasze, bo jesteś przyjacielem Juliana, nie więc przed nim tać nie będę... i nam Bóg dał naszą miarkę boleści. Mamy matkę i sierotami prawie zostaliśmy sami... mamy brata, nad którym codziennie łzę wyplakać potrzeba; w przyszłości nie jaśniejszego nie widzimy dla siebie... a jednak... daj mi pan najświetniejsze losy, z warunkiem, że mnie oderwą z tego środka cierpienia, wygnaj mnie z tej ciszy... płakać będę za niemi.

— Bo pani musisz żyć poświęceniem... inaczej nie pojełabyś życia.

— Ja? alboż się to może nazwać ofiarą? Ja tak jestem szczęśliwa, serce tak mi płaci za wszystko! tak mi dobrze! tak błogo!

Anna wzniosła oczy w niebo...

— Stryj Atanazy, dodała powoli, uczynił mnie optymistką; przywykłam widzieć na świecie wszystko dobrem, zasłużonem, sprawiedliwem... nawet to, na co my ślepi bolejeni czasami.

— I tak jest! — zawołał Aleksy. Świat widziany po ludzku niepojętym się wydaje; uleciawszy nadeń, postrzegamy dopiero, jak logicznie na nim rozwija

się wszystko, jak te ogromy porusza sprawiedliwość i Opatrzność.

— Więc i pan nie mieniałbyś losu swojego na inny? spytała Anna, spoglądając na Aleksego.

— Nie, rzekł Aleksy, choć na pozór mógłbym, miałbym prawo tego pożądać. Przyznam się pani, że zrazu inaczej osnuwszy sobie życie, żyłbym się trochę na ciężkie obowiązki, w jakie od losu zostałem przykuty; ale dziś uspokojony, widzę, że to, co mi się zdawało moim tylko udziałem, jest dołą wszystkich...

Mówili tak po cichu, a po za nimi Juljan i Pola szli obok siebie z drugą rozmową, niemą, cichą, a stokrót gorętszą. Zły to już znak, gdy dwoje młodych zbliżając się do siebie, nie wiedzą co mówić z sobą, gdy oczy ich unikając się spotykają, usta drżą, a każde słówko wyrzeczone przestrasza, gdy szukają czegoś obojętnego i znaleźć nie mogą. Bo nie też już wówczas obojętnym nie będzie dla nich: zaczną mówić o ludziach, a mówić będą o sobie, zwróca się do żdźbła trawy, do chmury, do deszczu i pogody, i najpospolitsze przedmioty staną się dla nich hieroglifami języka ich uczuć, dla nich tylko zrozumiałego; wśród osób tysiąca rzucą sobie słowo zimne, a w jego łupince ogień będzie zamknięty.

Pola, która zazwyczaj umiała tak mówić z Juljanem, nie w istocie nie powiedziała, tysiące uczuć i myśli rzuciła w drobnostkach i fraszkach, na ten raz tak była wzruszoną, tak niespokojną i drżącą, że jej biednej wyrazów zabrakło. Juljan mniej jeszcze mógł mówić i przymuszony tać to jedno, coby był wypowiedzieć pragnął, z ogromnej reszty nie znalazł przedmiotu nawet do lekkiej rozmowy. Szli więc obok siebie długo

milczący, on patrzac to w niebo, to w oczy łzawe Poli, ona zrywając powoje na wierzbach zwieszone, trawki nad stawem, i wzdychając jakby ciężkie brzemie pierś jej ugniatało. Któż kiedy wypowie, ile słów zawrzeć może jedna chwila milczenia?

— Pani coś dziś jesteś smutna? odezwał się Julian po cichu.

— Nie... alebym nie chciała mojem szezebiotaniem zacierać pannu wrażeń, jakie z Szury przywiozłeś, odpowiedziała cicho... pan Atanazy musiał panów zbawienną nakarmić nauką!

— W istocie, prawie przez noc całą opowiadał nam historję Karlińskich...

Pola spojrzała mu w oczy.

— A jednak, spiesźnie dorzucił młody człowiek, nie rozgrzał mnie wcale i nie pobudził do naśladowania; widzę wielkość przeszła, ale nie czuję się obowiązany do takich przeznaczeń; Bóg inaczej mnie stworzył od tych bohaterów.

— A jakże Bóg pana stworzył? spytała figlarka, zaglądając mu przez oczy do głębi duszy.

— Na bezsilnego, spokojnego... egoistę.

— Czernisz się pan nmyślnie, wywołując komplement z mojej strony...

— Jakaś pani złośliwa! Nie! Przyznaję się szczerze do tej wady, że chce szczęścia i sądzę, że mam do niego niejakię prawo.

— Doprawdy? tu? tu? na Bożym świecie?

— Czasem przynajmniej widzę je podobnem, możliwem...

— Ja nigdy! — szybko przerwała Pola, rumieniąc się niezmiernie pod wyrazistym jego wzrokiem, wstrzę-

sniona jakby dreszczem jakimś, który się ukryć starała, obwijając chustką osłaniającą białe jej ramiona.—Szcześćia warunki każdy z nas zapewne wymarzyć potrafi, ale rachunek ludzki zawsze się rozmija z rzeczywistością i dlatego w niej spełnić się nie daje.

— Dla czegoż nie marzyć przynajmniej? zapytał Julian.

— Żeby się na próżno nie rozmarzać — odpowiedziała Pola.

— A cóż w tem złego?

— Żywsze, dotkliwsze uczucie swego położenia.

— Co tak państwo poważnie rozprawiacie? odwracając się ku nim wtraciła Anna... Nie poznaje Poli... nie słyszałam jeszcze ani razu jej śmiechu...

— Czyż po nim tylko mnie poznajesz?—z wymówką, ale wesoło razem spytało dziewczę...

— Najczęściej; moja droga tyś tak dobra, że jedna przynosisz nam wesele i szczebiocesz w tej klatce. Kiedyśmy wszyscy smutni, kiedy i tobie nieraz płakaćby się chciało, jeszcze się i wówczas nawet zdobywasz dla nas na uśmiech i pociechę...

— Anna mi prawi słodycze! zawołała Pola... a tegom się po niej nie spodziewała...

— Nie, to tylko prawda szczerą, to wdzięczność mówi przezemnie... ty jedna między nami najwięcej masz i okazujesz siły.

— Chcesz mnie doprowadzić do tego chyba, żebym się rozplakała... przerwała Pola rozdrażniona... proszę cię... daj mi pokój.

Stanęli właśnie naprzeciw furtki ogrodowej, która wiodła około wielkich zabudowań oranżeryjnych do środka starego parku; Julian nie myśląc otworzył ją,

a Anna z Polą weszły do ogrodu, dwaj mężczyźni za niemi. W istocie przechadzka daleko była miłszą pod cieniem drzew starych, wśród poważnej ciszy tego zakątka, której nie przerywał ani turkot przejeżdżających do miasteczka wozów, ani nieustanne przesuwanie się najrozmaitszych postaci, jakie wprzód spotykali na gościńcu. Ale u wejścia przemieniły się pary tak z razu dobrze dobrane, Anna poszła z Polą, Julian za niemi z Aleksym... i Pola odzyskała zaraz przytomność swoją, wesołość, żartobliwość.

— A! zapomniałam spytać o mego kochanka? zawołała po chwili, o pana Justyna... jakże się miewa? Pan Julian tak niegrzeczny, że mi nawet ukłonu od niego nie przywiózł.

Rozśmiali się, Pola bowiem żartami prześladowała zakochaniem poetę, ile razy był w Karlinie i szczerze go ceniąc, nie mogła się powstrzymać od dokuczania mu trochę, tak ja bawiło jego zakłopotanie i nieobrotność.

— Pan Justyn obiecuje jednego z tych pięknych dni, od wsi do wsi, słuchając pieśni i gwarząc po drodze, przywędrować do pani piechotą ze swoim sercem i poematami... — rzekł Julian.

— Czy też choć spytał o mnie niewdzięczny? spytała Pola...

— A jakże! mocno mnie o panią dopytywał — odpowiedział Karliński...

— Jakaby to dobrana para z nas była, odezwiała się Pola — on nic nie ma prócz poezji, ja nie prócz serca, on najzapaleńszy z poetów, ja najprozaiczniejsza z niewiast i istot na ziemi. Kontrast doskonały! On miłujący, ja szczebiotliwa... w dodatku oboje prawie jednakiego pochodzenia... powinien-by się zakochać i ożenić

ze mną...

— Przysiadź się pani do niego na dni parę, a za skutek ręczę, szepnął Julian.

— Wszakżeś pan widział, że odemnie jak od powietrza uciekał... mówiła Pola—ja nawet na serjo pokochałam tę pocziwą istotę, tak dobrą, tak nicopatrzną i potrzebującą opieki... a on wciąż stronił odemnie...

Drzewa, które dotąd osłaniały zieloną łąkę nad brzegiem stawu, rozstały się nagle i Anna idąca przodem zafalała się na widok niespodziany, nagle wszystkim wesołym żartom i płochej rozmowie zamykający usta.

Zapomniała Anna, że mieli z sobą obcego Aleksego i nałogowo poszła tą drożyną wiodącą do ustroni, w której część dnia pogodną ze starym sługą spędzał biedny Emil.

Aleksy wiedział już o nim, ale go po raz pierwszy spotykał. Anna chciała się zawrócić, ażeby brata nie narażać na wejście obojętne i ciekawe cudzego człowieka, ale chory zobaczył ją, przeczuł, wyciągnął ręce i dzikim swym głosem odezwał się do niej, wrywając słudze, który go przytrzymać usiłował.

— Chodźmy do niego, rzekł Julian po cichu — ty Aleksey pozostań, dla ciebie byłby to widok nie miły... a dla niego wszelka postać nowa jest straszną...

— Ja pana poprowadzę ku zamkowi... przerwała Pola...

— Nie, niech państwo zostaną wszyscy... ja nie zabłądzę, szybko zawołał Aleksey chcąc się usunąć.

Anna już była pobiegła ku Emilowi, który ku niej ręce nastawiał jak dziecko do piastunki... leżał on na posłaniu ze skórzanych materaców rozłożonem na ziemi, pod wielkimi drzewami, bezsilny, blady; przed chwilą

jeszcze swoim zwyczajem patrzył w niebo, na wodę i drzewa, ale ujrawszy Anne, drgać począł miotając się do niej. Prawie na równi z siostrą kochał Polę, i gdy zobaczył ją kryjącą się za drzewy, krzyknął znowu, wyraźnie wskazując, że chce, aby razem z siostrą przyszła ku niemu.

— Polo! chodź, chodź ze mną, odwracając się zawołała Anna — biedny Emil cię zobaczył, ty wiesz jak ciebie kocha...

— Chodź i ty Aleksey, rzekł Julian biorąc go pod rękę, zobaczymy jakie na nim zrobisz wrażenie... Jeśliby się ciebie uląkł, odejdziemy razem; jeśli nie, widok nowej twarzy rozerwać go może... Ma instynkt do ludzi szczególnie i przy swej ułomności często jest dla mnie wskazówką... Ręczę, że do ciebie biedny Emil się uśmiechnie.

Anna spojrzała na brata i nic nie odpowiedziała, nie chciała się wydać z obawą; wszyscy razem zbliżyli się do lipy, pod którą leżał głuchoniemy, ciekawymi na nich poglądając oczyma. Widać było, że już Aleksego zobaczył, bo wzrok jego stał się niespokojny, otworzył usta i długo na nim zatrzymał wejrzenie, jak ptaszek, który przyglądając się przekręca główką na wszystkie strony; nie krzyknął jednak, nie rzucił się jak był zwykł, gdy niemilą spotkał postać, lekki uśmiech jakiś zarysował mu się na białej twarzy i uspokojony wziął chciwie rękę Anny, począł ją przytrzymywać, a wciąż jeszcze oka nie spuszczał z Aleksego.

— Widzisz, rzekł po cichu Julian, któremu iza zakręciła się w oku — ciebie się nie zląkł! Wszyscy otoczyli go kółkiem smutni, poważni, z uczuciem boleści malującym się dobitnie na twarzach, nawet Pola zasę-

piła się... Najsilniej jednak uczuł na tym widoku Aleksy nieprzywykły do niego, powieka jego zwilżyła się mimowoli... a choć łzę chciał ukryć, Pola i Anna ją dojrzały; obie ocenić potrafiły to rozczulenie męskie, pocziwe, ciche, i przybysz nowe prawa u nich tym dowodem serca pozyskał.

Ciężka chwila milczenia przeciągnęła się długo, nareszcie Emil puścił rękę Anny i zapatrzył się w niebo, po którem ozłocona blaskami zachodu jasna płynęła chmurka... korzystając z tego zajęcia, Julian ruszył się pierwszy, a za nim po cichu wysliznęli się wszyscy w ciemną ulicę... w zamyśleniu zmierzając ku zamkowi.

Już byli przy ogrodowym ganku, gdy Anna odezwała się do Aleksego, jakby kończąc głośno myśl poczetą po cichu...

— Mamyż prawo, spojrzawszy na takie nieszczęście jak jego, skarżyć się i boleć z drobnymi dolegliwościami naszymi?... Zdaje się, że on urodził się tylko, by cierpieć! życie nie ma dlań uśmiechu, nie ma nadziei, nie ma przeszłości i jutra, z duszą ludzką musi pozostać na ostatnim szczeblu dzielącym nas od istot upośledzonych... oddzielony od nas, nie posłyszysz nigdy słowa łitości, nie zrozumie łzy, którą płaczemy nad nim... Biedny Emil!

— Biedny, ale kto wie czy nie szczęśliwszy od nas jeszcze?... przerwała Pola z głębokim westchnieniem — patrzy na niebo, roi, marzy i jeśli cierpi to ciałem tylko, dusza w nim zasypia spowita... a my! a my!

— Polo! odezwała się Anna, starając się ją upamiętać...

Przymuszonym uśmiechem, biedna sierota przerwała rozmowę, wzrok jej spotkał wejrzenie Juliana, i mężczyźni sami zostali na ganku... Anna uprowadziła towarzyszkę.

II.

Wieczorem miał odjechać Aleksy; dłuższe niż zwykle oddalenie od domu niespokojnym go czyniło o matkę... a coraz cięższemu było porzucić Karlin; każda chwila tu przebyta wiązała go z nią ściślej i nieodwołalniej. Ta atmosfera smutku i spokoju, ta cisza po wrzawie Żerbów, po życiu nieustannej pracy i boju, obejmowała go jak pierwszy powiew wiosny po wichrach zimowych. Podwójnie kochał Juliana, Anne cenił jak zjawisko niezemskie, marzył o tem, jakby się im stać użytecznym, potrzebnym, i mieć prawo nie opuszczać ich, patrzeć na nich z daleka, służyć im przynajmniej. Duma szlachecka, przywyknienie do pewnej niezawisłości, stopiło się w nowym uczuciu, jakiego Aleksy doznawał. Na dnie dawnego jego życia w Żerbach były silne i prawdziwe uczucia: kochała go matka, bracia otaczali go miłością, ale pomimo to nikt słodko i czule, łagodnie i serdecznie od dawna nie przemawiał do niego; potrzeba było bronić się i oganiać sąsiadom, walczyć z ludźmi, a z głębi duszy nie było przemówić do kogo, bo niktby go nie rozumiał. Kontrast tego trybu codziennego żywota w Żerbach czynił mu Karlin oazą i Edenem, choć tu na jedno może tylko serce Juliana mógł rachować. Ale, choć się do tego nie przyznawał przed sobą Aleksy—uwielbienie, jakie w nim wzbudziła Anna, przykładało się też znacznie do sposobu zapatrywania na dom i życie w Karlinie. Staraliśmy się odmalować to uczucie, i wątpię, żebyśmy je potrafili ukazać takim, jak było w sercu biednego młodzieńca.

Wystawmy go sobie marzącego wśród lat uniwersy-

teckich o ideale Beatrycy, zachowującego serce całe na jedną wielką życia namietność, wzniosłą i czystą... potem zmuszonego zagrzebać się na wsi wśród najprozaiczniejszych zatrudnień codziennych małego i kłopotliwego gospodarstwa; a jakkolwiek z całym i wielkiem oddawał mu się poświęceniem, zawsze go ono nużyć musiało, zawsze od niego do czegoś więcej, innego, cieplejszego wzdychać musiał...

W Karlinie dwa dni pobytu starły co dlań życie pańskie miało przeciwnego, niezwykłego, przykrego; zobaczył tylko stronę jego swobodną, miłą, uśmiechnioną, wesolą... Anna przykuła go do tych progów, w które wchodził tak nieśmiało i ze wstrętem prawie, dziś mu się już to wszystko inaczej, lepiej zdawało.

Jedną z prośb w Modlitwie Pańskiej, na którą najmniej podobno zwracamy uwagi, jest: *nie wводź nas na pokuszenie*; ale Chrystus znał słabość ludzką, i nie darmo ją święte Jego usta wyrzekły... unikać pokuszenia mało kto umie, mało kto myśli. Sądźmy się zawsze silnymi przeciw wszystkiemu, gdy tymczasem słabi jesteśmy tak, że wpływ najmniej znaczący odbija się w jakimś kątku wrażliwej duszy...

Dwa dni przebyte w Karlinie już zmieniły biednego Aleksego; ze strachem prawie, ze zgryzotą jakąś myślał o Żerbach, o matce, ciężar, który sam dźwigał, zdawał mu się dziś podwójnym... Z jaką ochotą i zapalem byłby się teraz poświęcił Karlińskim, wspomagał Juljana, ratował jego i nieopatrzoną Polę, a cichem wejrzeniem uwielbień poglądał z daleka na rozpromienioną poświęceniem Annę; jak się tu czuł potrzebnym! Myślał nawet o Emilu i cudów chciał dokazać, poświęcając się upośledzonej istocie, z której iskrę pojęcia dobyć mógł

mozolnym trudem!

Ku wieczorowi chciał Aleksy, choć go serce wstrzymywało, pożegnać Karlin i jego mieszkańców; ale z tej złocistej chmurki, na którą poglądał Emil z takim zajęciem, nagle powstała burza z ulewą tak wielką i niesłychanie gwałtowną, że o odjeździe ani było można pomyśleć; Julian uradowany uściśkał przyjaciela i wprowadził go na herbatę do salonu, ani mu już dając mówić o powrocie do Żerbów.

Gdy weszli, zastali Polę przy fortepianie tak głęboko zadumaną, że ich ani postrzegła; Anny nie było, usiedli w kątku i słuchali... Swobodna gra jej doskonale malowała stan duszy; nigdy się tak nie grywa dla popisu jak dla siebie samego; chcąc osądzić artystę lub amatora, nie na wieczorze lub koncercie, ale go słyszeć potrzeba gdy z duszy tworzy i fantazjuje sam sobie. Taką właśnie była gra Poli, która przy fortepianie zapomniiała o świecie; marzenie jej, uczucie, smutek, namietność malowały się w dziwnym czemś wyrwijacem się z pod palców prawie mimowolnie... Były tam ułamki wszystkiego, myśli cudze i własne, motywa śpiewne, frazy szalenie rozezochrane, tańce i żalobne marsze, wale obok fugi, romansy i chóry kościelne... smętne nokturna i poważne psalmy... a wszystko to zlewało się przecie w jedną wielką i misterną całość.

Julian rozpoznawał z kolei, to co lubił, co mu przypominało dni jaśniejsze życia... i w zapomnieniu jakimś egzaltowaniem, ściskając rękę Aleksego, oddech prawie wstrzymywał, żeby Poli nie przerwać tej wymownej, muzykalnej spowiedzi! Gdy wchodzili, grała uwerturę z Eurjanty Webera, przeskoczyła z niej do motywów Oberona, potem zaśpiewała Ständchen i marsz Szopena...

a gdy ostatni dźwięk jego umierał pianissimo, ozwała się z poważnem Mozartowskiej mszy *Tuba mirum spargens forum...* i z niego na pełen prostoty motyw ze *Stabat* Pergolesego przeszła kilka akordami... Kaprys chromatyczny Bacha, część sonaty-fantazji Beethovena, mazurek nieśmiertelnego Szopena, *Ave Maria* Schuberta, jego *pożegnanie*, marsz *Stradelli*, kawałek walca Straussa... a! i nie wiem co jeszcze zmieszało się w tej improwizacji, wśród której błyskami myśl własna artystki świeciła gorąco, płomienisto, namiętnie, bolała, jęczała, skarżyła na życie...

Juljan słuchając cierpiał z nią razem, wzrok jego zaiskrzał się, ręce drżały, chciał wstać, pobiedz, rzucić się jej do nóg i przytulić i ukołysać nieszczęśliwą... ona podniosła nagle oko załzawione i pełne wyrazu, postzegła milczących słuchaczy, krzyknęła i ręce jej upadając bezwładne na fortepian, dźwiękiem dziwaczny, dysharmonijnym zakończyły szaloną fantazję...

— Kiedyscie się panowie tu wkradli! zawołała po chwili.

— O! jeszcze w czasie uwertury z Euryanty...

— Albożem ją grała? doprawdy, nie nie pamiętam... to wiem, że jeśli mowy podsłuchiwać się nie godzi, tem bardziej gry czyjejs, nie przeznaczonej do słuchania... Kto wie? może wygrała wszystkie tajemnice duszy mojej? westchnęła... spojrzała na Juljana i z tak widocznym wyrzutem jakimś utopiła w nim oczy, taką boleścią zadrżały jej usta... jakby doprawdy obawiała się być zrozumianą...

— Masz-że pani tajemnice? zapytał Aleksy.

— A któż ich nie ma? to skarby nasze!

Razem z herbatą weszła Anna, jak zawsze spokojna,

prawie wesoła rezygnacją. Aleksey zbliżył się do niej powołany jakimś zapytaniem, a Juljan nie mogąc się przemódz, podszedł do Poli, która chodziła po salonie... Te chwile wieczornej przechadzki były co dzień jedy-nemi prawie, w których się nieznacznie spotykali z sobą... a choć nigdy prawie nie mówili o sobie, ani o uczuciach własnych, choć Juljan unikał starannie wszelkiego wy-znania, i wstrzymywał się od osobistości, ileż to rzeczy obojętnych służyło im do lepszego poznania siebie, do przesłania części swej duszy i oddechu namiętności!

Pola była tak nieostrożna, a raczej tak chciwą serca, jej uczucie tak było prawdziwe, głębokie, silne, że się taić nie mogło, nie myślało i wybiegało naprzód, szu-kając męczeństwa. Karliński musiał czasem nie rozu-mieć, i kłamać ustami, choć go oczy zdradzały.

Chodzili tak po salonie, w pół cichą, na wpół głośną wiodąc rozmowę, której urywki tylko dolatywały uszu Anny i Aleksego, a Drabicki z daleka od swego ideału, prawie na klęczkach przed nim zatapiał się cały w swem szczęściu. Miłość jego młoda jeszcze, bojaźliwa, od razu postawiona na stanowisku poszanowania, z którego zejść nie mogła, upajała się jednym niczem, uszczęśliwiała samą przytomnością Anny. Czuł się podniesionym, sil-niejszym, potężniejszym przy niej i rozmowa też jego wyjawiała człowieka w niezwyklej formie duszy zosta-jącego; ale Anna nie mogła się poznać na egzaltacji przez siebie wzbudzonej i brała ją za stan powszedni człowieka, którego wyżej coraz ceniła.

— Mój Boże! jak to pozory mylą, mówiła w duszy,— jam go tak pospolitym sądziła... Juljan zawsze ma słu-szność... i tyle czasu nie wiedzieliśmy o nim... A po ehwili dodała sama do siebie: — Co za szkoda, że to

nie naszego świata człowiek!

I dla niej, i dla tej świętej niewiasty nawet, były dwa światy i dwa ludzi rodzaje! był grzech pierworodny, nie zmazany, nie dający się zmyć chrztem żadnym, nawet chrztem płomieni geniuszu... grzech pochodzenia...

Zasiadali do herbaty, a Julian i Pola musieli przerwać rozmowę i niechętnie, powoli zbliżali się we dwojgu do stolika, gdy prezes niespodziewanie wszedł do sali. Chociaż wszystko rzuciło się zaraz ku miłemu gościowi, miał jednak czas postrzedz Polę i Juliana odosobnionych, na ich twarzach znięszanie jakieś i ślady rozbudzonego uczucia, ale po sobie nie dał poznać, że to zobaczył. Anna zwracając oczy na opiekuna, dostrzegła tylko jakby niepokoju jakiegoś, który przywiózł z sobą; same te odwiedziwy zwiastowały coś niezwykajnego, bo prezes nie rychło się obiecywał. Wytlumaczył się jednak jakimś interesem i podróżą, i zasiadł do herbaty, udając nie złe humor dobry, który na tę potrzebę gdzieś sobie pozyczył.

III.

Gdy tak Drabieki z rozmaitych powodów przedłuża swój pobyt w Karlinie, w Żerbach tymczasem burza się gotuje. Matka, jakkolwiek kochała i szanowała syna, przeczuciem jakimś tyle tylko rachowała na niego, ile całkiem pod swoją władzą mieć go mogła. Dlatego nie dozwalała mu się oddalać, obawiała stosunków ze światem, który Aleksego pociągał, zmartwiała zbliżeniem do Juliana, i starała się go oderwać od niego. Wiedziała biedna, że mając do wyboru między Żerbami i Karlinem, pewnie wybierze to, co mu lepiej do smaku i

ukształcenia przypadnie, a znając wyższość jego, nie wątpiła, że świat tamten pociągnąć go musi. Rachowała na to, że Aleksy pomimo tęsknoty spełni obowiązek względem niej i rodziny z gorliwością dawną, ale z zazdrością i obawą spoglądała na te właśnie tęsknoty, maleńkie nasionko, które olbrzymie rodzi owoce. Puściła go do Karlińskich mruczając, obiecując sobie, że to raz ostatni: spodziewała powrotu niespokojna, a gdy Aleksy dzień, drugi i trzeci nie przyjechał, ostatniego wpadła prawie w gniew i oburzenie. Coś jej mówiło, że te stosunki odbiorą jej syna... przeciwko swojemu zwyczajowi nieustannej pracy, kilka razy siadła zamyślona, podparta na reku na przeciw okna, zapatrując się na drogę, którą Aleksy powinien był przyjechać.

— Co się tam robi, mówiła do siebie ze łzami w oczach, — nie, już mu tam lepiej, weselej, swobodniej niż u nas?... Ma przecie wszystko co mu potrzeba... Tak! tak! ale on nie stworzony do nas, prędzej później wyleci z gniazda... a ja, jak ta kura co wychodowała kaczę, na brzegu biedna zostanę, gdy on popłynie... Mówiłam nieboszczykowi zawsze, żeby mu tego wyższego wychowania nie dawał, to tylko nieszczęście... o! już braci jego nie głupiam posyłać do uniwersytetu! To darmo, z Aleksego nic nie będzie! Pracował a wzdychał! Jak tam zajrzał do tych panów... rozpróżnuje się i zmarnieje...

Łza zakreśliła się pod powieką, otarła ją matka...

— Czy tam mu cudzy biały chleb smaczniejszy od naszego czarnego? zawołała — czyżby tak nie umiał się poznać na tem, że on tu panem, a tam podrzędną jakąś figurą na łasce?... Biedny Aleksy! otoż-to chowaj dzieci na paniczów!

Właśnie na tę zadumę i monolog tak niezwykajny, wszedł stary Junosza i przerwał je od progu swoim:

— Niech będzie pochwalony!

— A! to pan! porywając się przestraszona, zawołała pani Drabicka — pan hrabia.

— To ja, do usług jejmości dobrodziejki, ale mogliście mi odpowiedzieć: *na wieki wieków, amen*, bo to zdrowo dla domu.

— Na wieki wieków! powtórzyła posłusznie z niezwykłym sobie westchnieniem pani Drabicka.

Stary wyga postrzegł po twarzy, że gospodyni nie była w swoim zwykłym codziennem usposobieniu.

— A Aleksy? zapytał.

Matce łyzy w oczach stanęły... pierwszy to raz hrabia go nie zastał w domu, a nie mógł być w polu, bo nie nie robiono dla święta...

— At! lepiej się już nie pytaj panie hrabio! dodała Drabicka, rzucając ręką.

— No? co? jak? cóż się stało, siadając i krzesząc ognia zapytał stary — co to jest? nie rozumiem...

— Nasłanie Boże, skaranie! zawołała, nie mogąc tajić i nie chcąc udawać gospodyni — spotkał się oto z tym Julianem Karlińskim, wciągnęli go tam, już trzeci dzień siedzi, to mi go zbałamucą ze wszystkim, jestem tego pewna...

— I do tego się asindzka przygotój, rzekł puszczając kłab dymn hrabia... znam ja ludzi, smakuje ten świątek, obałamuca, durzy... Zdaje się tym młokosom, że tam innych ludzi, z czyściejszej gliny ulepionych znajdują. Człowiek zawsze za młodu marzy, przymierza raz w raz ludzi, których widzi, do tych, których sobie stworzyć raczył, a że mu krótko i lichy nie dochodzą do miary,

sięga wyżej, czy olbrzymów i aniołów nie znajdzie... Znane dzieje! dopiero na starość otwierają się oczy i człowiek nie patrzy już na atlas, tylko na serce...

— Ale bo mój hrabio, odezwała się z niezwykłym wylaniem paui Drabicka, na Aleksym nasza dola: dopóki jego, dopóty my jeszcze się trzymamy... Drobinke mamy, żeby nie jego głowa, toby to nie starczyło, co tu będzie począć bez niego, a taki widać, że go stracić przyjdzie...

— Pozwól bo sobie powiedzieć, jejmościuniu, że go tak zamarynować w Żerbach i myśleć nie było można..

— Albo mu to tam gdzie lepiej będzie?

— Nie lepiej tylko inaczej, jejmościuniu, a człowiekowi i tego się zachciewa; przytem taki on bo od was rozumniejszy, sięga myślą wyżej, daliście skrzydła, pozwólcież latać...

— A cóż ja nieszczęśliwa bez niego pocznę! — łamiąc ręce zawołała Drabicka.

— Wszak-ci macie ich jeszcze trzech!

— Dobrze chłopcy, złote chłopcy, przerwała matka z uczuciem, ale żaden z nich w Aleksego się nie wdał i tego co on nie potrafi.

— Tak, ale po ziemi chodzą i skrzydeł nie mają, rzekł stary — tamtemu obcinaj nie obcinaj, zawsze taki w pióra porośnie.

Drabicka już na dobre płacząca, łzy ocierała fartuchem, hrabia spoglądał i fajkę palił, ale mu się skrzywiła także stara twarz pomarszczona i głęboko się zamyslił.

— Tu łzy nic nie pomogą, rzekł powoli; cóż bo się dzieje — przerwał, dawno on tam! czy już cię opuścił, porzucił, zaniedbał?

— Nie, nie, żywo odparła matka, do tego jeszcze nie przyszło, ale to darmo, ja czuję, że to będzie... Nigdy nie bywało, żeby tak trzy dni w gościnie bawił... jak pojechał, tak zapomniał o Żerbach, tylko przysłał, że go tam zatrzymali... Teraz powróci, ja mu tu scenę zrobię, zuiehęci się do reszty... już nie ma na to rady.

Machnęła znowu ręką...

— Dziej się woła Boża! Jasia przy sobie zostawie... dosyć umie, na co mu tych szkół więcej, jeszcze i jemu głowę przewrócą... niech w domu siedzi... A! wszystko to nie Aleksey! dodała po chwili... nie mój Aleksey!

— A takby, na uczciwość, było najlepiej, przerwał hrabia — Aleksego wypuścić trochę, niech pobryka, powróci potem pod strzechę! Z Jana już człowiek... powoli to się wprawi do pracy i ten już jejmości nie porzuci...

— Wszystko to nie Aleksey! powtarzała po cichu pani Drabicka.

— Ale i lepszy jeszcze być może od niego do tej sprawy! rozśmiał się stary... już wierz mi jejmość wytrawnemu, że z takich jak starszy jejmościin, nigdy gospodarza nie ulepisz... zawsze to wzdychać musi, a Jasiowi z oczu patrzy, że mu zagon zasmakuje.

— Ma ochotę! ma! odezwała się Drabicka, i nie głupi i żwawy i rozgarniony, ale to nie Aleksey! westchnęła znowu...

Aż tu na te żale i Aleksey nadjechał. Spostrzegłszy wózek i Parfena, matka zaczerwieniła się cała, chciała biedz, wstrzymała w progu i spojrzała na hrabiego.

— Podobno zawadzać będę, rzekł hrabia powoli, rozumiem ci to, ale może i lepiej, że przejdzie ta burza przy obcym.

Gdy to mówił, Aleksey zarumieniony i zakłopotany

wszedł do izby, pocałował matkę w rękę i udając wesołego, obrócił się do hrabiego. Drabicka powiodła za nim wzrokiem pełnym wyrzutów.

— Cóżes to tam jegomość tak długo gościł? zapytał hrabia.

— Nie chciano mnie puścić... wyjąknął Aleksy.

— Oczywiście gwałt zrobili, odparł hrabia... ale to była, spodziewam się, *une douce violence*... i podobało się jegomości w Karlinie?

— Byliśmy w Szurze także! unikając odpowiedzi rzekł Aleksy.

— I obchodziliśmy imieniny panny Anny! rzekł Junosza wydmuchując fajkę...

— Były i imieniny!

Matka, przeciw zwyczajowi swemu, bo mówić lubiła i nie cedziła słówek, milczała jakoś groźnie; czuł Aleksy ile się tam w tem milczeniu zbierało; hrabia był mu bardzo na rękę, bo matka nie mogła wybuchnąć i pierwszy gniew jej przechodził powoli nieobjawiony. Ale to nie długo trwało; stara Drabicka pokiwała głową, usiadła i zawołała dość gwałtownie:

— Tak! tak! balowali, jeździli, bulali, śmieli się, baraszkowali, a tu gospodarstwo niech djabli biorą...

— To były dnie świąteczne, — odezwał się Aleksy

— Albo to w święto gospodarz w domu niepotrzebny? zapytała matka. — Gadaj zdrów... głupstwo się zrobiło.

— Kochana matuniu, rzekł Aleksy zbliżając się i chcąc ją pocałować w rękę, którą przed nim cofnęła z urazą — proszę mi darować...

— Co ja ci mam darowywać? — odparła stara niewiasta, powoli przychodząc do siebie i zapominając, że Junosza był przytomny — jak sobie pościelisz tak się

wypisz; przestrzegałam póki mogłam, przestrogi poszły w las, nicem ja temu nie winna, że się zgubisz, a my dalipam bez ciebie się obejdziemy!

— Ale kochana matko!

— Kochana matko! odpowiedziała Drabicka — są tam u ciebie teraz lepiej kochani niż my! To darmo, dwom panom służyć nie można... myślałam, że rozum mieć będziesz, ale widzę, że na ciebie rachować darmo... Niechże my nie ginie z twojej przyczyny...

Aleksy stanął osłupiały, nie mógł jeszcze zrozumieć, do czego to wszystko prowadziło.

— Znasz mnie, dodała wstając z powagą — u mnie próżnych słów nie ma... Odkąd ci ten Karlin zasmakował, mam ciebie za straconego... Jaś nie pojedzie do szkół, zostawiam go na gospodarstwie, a tobie daję wolę, rób sobie co chcesz i choćbyś siedział w Karlinie, słowa nie powiem.

Tego się Aleksy nie spodziewał; obcy mu nie dozwalał otworzyć się przed matką; stał milczący, mimowolnie się obejrzał, ale Junoszy już nie było; zapaliwszy fajkę wyszedł po cichu, zobaczyli go tylko w dziedzińcu przeprowadzonego przez Kurte, który za jego siermięgą idąc ujadął z obowiązku, ziewając niekiedy.

Pani Drabicka nabrała większej jeszcze energii, widząc, że zostali sami.

— Kochana matko, rzekł Aleksy z uszanowaniem, zdaje mi się, że do tej pory nie możesz mi nic mieć do wyrzucenia: pracowałem wszystkimi siłami.

— No, toś spełniał, do czego byłeś obowiązany dla siebie i braci...

— Tak-że to wielka wina, żeu się na parę dui dla odetchnienia oddalił?

Drabicka spojrzała mu w oczy.

— Nie wielka to wina zapewne, odpowiedziała... ale wielki znak mój Aleksy — czemu to wasindziej u Butkiewiczów, u Pierzchowskiego nie siadujesz po trzy dni? Natura ciągnie wilka do lasu; myślałam, że cię przerobie, że się nałamiesz; jak nie to nie, ruszaj gdzie ci pachnie, a daj tylko Boże, żeby z tem dobrze było.

— Ale doprawdy ja nie widzę, czem tak bardzo zgrzeszyłem?

— Nie ma grzechu, tylko głupstwo, odpowiedziała Drabicka poważnie... dał ci ojciec wychowanie niepo-trzebne, myśli głowa pełna a świata nie zuas; zdaje ci się, że ci co piękniej od nas mówić umieją, czemś są od nas lepszem, — ruszajże do nich... ani słowa... Ale pomiarkuj, rozważ, czy ci tam lepiej będzie!! Gorzki chleb cudzy i gościna! Tyś tam obcy i obcym zosta-niesz na zawsze, choćbyś się z nimi sercem swoim rozłamał; przyjmą od ciebie wszystkie ofiary jak dług należny, a napoją cię octem i żółcią... Nie znasz jeszcze tego pięknego świata... na którego twarzy wiekuisty uśmiech, w ustach grzeczność, a w piersi lód i pustka! Julian cię pewnie nie kocha lepiej odemnie... a jednak wolisz go nad matkę i braci... Bóg z tobą... idź, gdzie dola wola...

— Ale ja nigdzie iść nie myślę... odezwał się Aleksy.

— Przedzej, później to być musi, nie ma co dwa razy sobie serce rozdzierać — co ma być niech się stanie od razu... Słuchaj Aleksy!

Uroczyście mówiła stara matka i syn odezwać się nie śmiał; łzy błyszczały w jej oczach, znać było po-tężne wzruszenie.

— Słuchaj Aleksy, dodała. kiedyś do domu wrócił,

kiedym cię tylko zobaczyła, zaraz powiedziałam sobie, że ty nie długo u nas pogościsz; strzegłam cię, broniłam, nie dla siebie i braci tylko, ale dla samego ciebie... tam nie ma szczęścia... Ale co napisano tego nie odmienić... już ty u nas tyłkobyś się męczył, a my z tobą kłopotali, kłócili i jątrzyli wzajemnie, trzeba temu koniec położyć.

— Kochana matko... przerwał Aleksy z uczuciem.

— Daj no pokój, nie gadaj, odparła Drabicka... co postanowiono to się stanie... nie powiesz, że cię nie kocham, ale dla nas wszystkich potrzeba się rozdzielić...

— Rozdzielić! wypędzasz mnie! zawołał syn porywając się — za co?

— Wypędzać! oszalałeś! groźnie odpowiedziała stara; — co tobie? słuchaj, a dowiesz się co myślę... Sceny nie róbmy, a co potrzeba to się stanie... Już tobie głowę przewrócili, gospodarstwa nie poprowadzisz, oni tu nieustannie najeżdżać będą, a ty do nich... ja na ciebie spuścić się nie mogę... Masz na części pana Jacka domek, ruszaj sobie, oddzielnie gospodaruj, ja z Jasiem zostanę... Dam ci zapomogę nieciwą, nie skrzywdzę...

— Ale Jaś szkół nie skończył...

— A! mnie do licha aż nadto, gotów się i on w książkę zakochać jak ty!... Co postanowiono to być musi... nie rozprawiaj darmo... ja go pokieruję i gospodarstwa nauczę, a i ty nas nie opuścisz całkiem, spodziewam się; ale od dnia tego już jesteś oddzielony i pan siebie... Matka cię przestrzeże, popłacze nad tobą, ale ci w drogę nie wejdzie, rób sobie co chcesz, jesteś wolny...

Aleksy stał z razu przybity, nie wiedząc co odpowiedzieć, w głowie mu się męszało, chciał przebłagać matkę, sądził, że to wszystko jest postrachem; ale spoj-

rzawszy na nią, przekonał się, że mówiła po namyśle to, co było jej nieodwołanym wyrokiem, spuścił głowę i zamilkł.

Pani Drabicka ze łzami w oczach przystąpiła do niego i pocałowała go w czoło.

— Zawsześ ty mój kochany Aleksey moje pierworodne dziecko, dodała łagodniejąc — zawsze ty u mnie w sercu pierwsze miejsce mieć będziesz, niech ci Bóg błogosławi... niech cię strzeże, niech ci spłaci poświęcenie twoje dla nas... czas ci być wolnym... moje dziecko... Ja ciebie może nie rozumiem, jabym cię pętała i psuła ci życie... bądź swobodny!

Aleksemu także łza stanęła w oku.

— Matko, to ostatnie słowo twoje? zapytał z cicha...

— Ostatnie i stanowcze... nie rozdzielamy się przecie na wieki; ale ty powinienes już mieć coś swego i być wolnym, dosyć ci matka nadokuczała, zobaczysz czy ludzie co pochlebiać będą i głaskać, lepiej poprowadzą. Idź w świat o swej sile... niech cię anioł święty prowadzi, w Imię Ojca i Syna i Ducha Świętego...

— Amen... — odpowiedział Aleksey całując rękę matki. Stań się wola Twoja!!

VI.

Sąsiedzi Drabickich doskonale zawsze byli uwiadomieni, co się u nich działo; po większej części próżnując, bawili się jedni drugimi, a na karm ich ciekawości wszystko było dobre. Powozik Juljana Karlińskiego zajeżdżający przed ganek starego dworu w Żerbach, wyprowadzał wszystkich kto żyw był na ulicę; wiadzano później, że Aleksey pojechał do Karlina, jak długo

tam zabawił, a godzina nie minęła po jego powrocie, gdy już po wsi latała wiadomość, jak go matka przyjechała. Barwiono to wszystko, ubierano, dodawano i opowiadano w sposób niezmiernie zajmujący. Ciekawsi wybierali się już do dworu, żeby w oczy zajrzeć Aleksemu i matce. Nad wieczorem pan Mamert Butkiewicz włożył był spencer wizytowy i zbierał się iść, gdy go nawiedził pan Teodor Pierzchowski, nieco rozweselony, i w takim tylko stanie podniecenia sztucznego widujący się z panem Mamertem, od którego inaczej stronił.

— A co, panie sąsiedzie, rzekł śmiejąc się, w starym dworze nowości! ha!

— Co tam za nowości? z powagą bogacza spytał z góry pan Mamert — już wasaństwo wiecie co?

— Wszystko, mocidziejn! Aleksego pięć czy coś dni nie było, szóstego powrócił; matka mu głowę zmyła porządnie, pokłócili się i wynosi się na część Ultajskiego, którą trzyma dzierżawą.

— O! o! o! pociągnął długo Butkiewicz — ważne zmiany! ale czy to być może?

— Pałaszka była pode drzwiami, kiedy mn matka powiedziała słowa prawdy i kazała iść precz... ona mówiła mojemu Jankowi, a od Janka i ja wiem... Słyszę, stary ten hrabisko Junosza starał się perswadować, ale Drabicka go het wypędziła...

— O! o! rzekł jeszcze Butkiewicz, zgroza!

— Zgroza! ja zawsze mówiłem, że to się tak skończy... rzekł Pierzchowski — nie ma u pana kieliszek wódki, dla konkocji?

— Pozamykane! odpowiedział Butkiewicz, niechając ani dać, ani się przyznać, że wódki nie miał.

— A odemknąć?

— Klucznica poszła zabrawszy klucze...

— Coś mi tak swędziło... Otóż co chciałem mówić, dodał pan Teodor... co chciałem mówić?

— A ja nie wiem, co mówić chciałeś.

Wszedł pan Jacek Ultajski, podając dłoń panu Butkiewiczowi, a z dala ukłonem witając Pierzchowskiego, z którym nie byli najlepiej, bo pan Jozafat Butkiewicz żonaty z Pierzchowską, koty darł z panem Ultajskim, a brat ciągnął za bratem.

Butkiewicz i on spojrzeli po sobie.

— Co nowego! przecedził przez zęby, oszczędny nawet na wyrazy pan Mamert.

— Ale, a! słyszę Drabiczcy się rozdzielają, Aleksy na mojej części zamieszka; matka, herod-baba, wypycha go z domu, zobaczymy jak sobie rady da sama...

— Tak; ale po co jemu do tych panów? wybąknął pan Mamert.

— Umhu! rzekł pan Teodor, po co? po co? guza szuka.

— Ja się coś domyślam, zawołał Ultajski... tam są dwie panny...

— Co? dwie? zapytał Butkiewicz...

Pierzchowski nastawił uszu... — Dwie?

— No! naprzód, panna Anna...

— Siostra pana Juljana... ale gdzież!

Ruszyli ramionami. — To nie dla psa kiełbasa! mowsanie! — rzekł z prosta pan Mamert.

— I panna Apolonia, dodał Ultajski, córka oficjalisty, przyjaciółka panny Anny... śliczna bestyjka... oni muszą ją jemu swatać...

— Albo on się już podkochał i sam...

— Słuszna uwaga, rzekł pan Mamert, — a goła?

— Nie ma nic — ramionami ruszając zawołał Ultajski, — ale wychowana ślicznie i ładna bestja...

— Niezawodnie, pomyślawszy potwierdził pan Mamert.

— A nie poszlibyśmy do Drabickich, zapytał Pierchowski?

Wszyscy ogromną mieli ochotę, ale nikt do niej przyznać się nie chciał, prócz Ultajskiego, który interesu za pozór mógł użyć.

— Ja pójdę, rzekł — bo muszę z Aleksym pogadać.

— Jabyśmy poszedł... odezwał się pan Teodor... ale...

— Wróć lepiej do domu, my z panem Ultajskim pójdziemy, a jak nas tak trzech razem wpadnie...

— Jak może być dwóch, może być i trzech, waćpanowie sobie, a ja sobie... pan Mamert zawsze imponuje, a wódki nawet w domu nie ma...

To mówiąc, nałożył czapkę na uszy, i wyszedł trzaskając drzwiami: Butkiewicz ruszył tylko ramionami.

— A co, pójdziemy? rzekł.

— Chodźmy — dodał Ultajski.

Już wieczór był, gdy w dziedzińcu dochodząc do dworu, spotkali się z idącymi w tymże celu zaspokojenia ciekawości, panem Prysejanem i Jozafatem Butkiewiczem. Ostatni z powodu zajścia swego z Ultajskim, nie chcąc się z nim w jednym towarzystwie znajdować, udął, że czegoś zapomniał, i zawrócił do domu. Zrozumiał to pan Jacek, i uragliwem za nim powiódł okiem.

Wszyscy sąsiedzi po jednemu, po dwóch wtoczyli się do bawialnego pokoju, w którym zastali panią Drabicką samą, odmierzającą płótno ze sztuki rozłożonej na ziemi. Aleksego nie było. Staruszka spojrziała na wchodzących i znacząco ruszyła ramionami.

— I padam do nóg, — rzekł z przyzwitołą bogaczowi

powagą pan Mamert.

— Jak się pani ma? — protekcyjnalnie a wesoło zachichotał Ultajski.

— A gdzież Aleksy? spytał pan Prysejan, poprawiając włosów i w duszy porównyując swoje wykwiłtnie ubranie ze spencerem pana Mamerta i węgierką Ultajskiego.

Na to wszystko nie robiąc ceremonji, pani Drabicka ledwie coś odmruknęła, nie starając się utaić, że goście jej wcale nie byli na ręce; sąsiedzi przywykli do jej złych humorów nie wiele na to zważali. Każdemu z nich zdawało się, że honor czynił Drabickim, bywając u nich; nie czekając więc zaproszenia, usiedli gdzie kto mógł, a gospodyni dalej mierzyła płótno.

U małej szlachty jest to w starodawnym zwyczaju, że z najmniejszej okoliczności każdy chce dla siebie korzystać; jest to we zwyczaju i gdzieindziej, ale tam obleka się jakąś formą, przybiera pozór przypadku, niby się składa nie umyślnie, tu po prostu i bez ogródkii każdy chwyta co może, zkad może i jeden z przed drugiego. Mielśmy tę wadę a może ten przymiot (bo przynajmniej byliśmy szczerzy) i za dawnych czasów; przejrzymy stopy listów i uotat z ubiegłych wieków, nie znajdziemy i jednego, w którymby pan brat pana brata o co nie prosił. Taka tylko różnica, że w liście prymasa do księdza biskupa lub wojewody, prośba jakoś naturalniej i lepiej jest spowodowana, w szlacheckich zaś często za boki brać się trzeba czytając, czego się jednym od drugich zachciewało. I dawniej to powszechne wspomaganie się, trzymanie, ta solidarność wszystkich, miały inne niż dzisiaj znaczenie; cała niemal Rzeczpospolita szlachecka, powiedzieć można, była z sobą

spokrewniona, wszyscy mniej więcej byli braćmi, po familijnemu więc sobie poczynali. Dziś braterstwa zapomniano, obyczaj jednak pozostał.

Gdy się w Żerbach domyslać zaczęto, że Aleksy w dobrych jest stosunkach z panem Juljanem Karlińskim, każdy z sąsiadów mniej więcej spytał siebie — co by mi też z tego upiec się mogło? wszyscy mieli jakieś projekta; każdy ze swoim chciał pospieszyć, żeby drugich uprzedzić.

Nikt się do tego nie przyznawał, ale wszyscy mieli, idąc do starego dworu, już osnute żądania i plany. Pan Prysejan Prus-Pierzchowski, który się nie darmo stroił i elegantował, a miał się za człowieka przeznaczonego do odegrania roli w wyższem towarzystwie, chciał prosić Aleksego, żeby go w Karlinie zaprezentował. Śniło mu się: że... kto wie... a mąż... panna Anna? lub inna jaka dziedziczka? i uśmiechał się do szczotki ze zwierciadélkiem, którą zawsze w kieszeni nosił. Pan Mamert Butkiewicz uprojektował był sobie, że tanio drzewa kupi w lasach Karlińskich, albo go i darmo dostanie... Pan Teodor chciał sławnej dostać starki z lochów zamkowych, o której wiele mówiono; naostatek pan Jacek! o! pan Jacek największą chciał korzystać wyciągnąć z nowego położenia Aleksego... Dowiedziawszy się, że od matki miał się oddzielić i zamieszkać na jego części, obrachował już, że mu ta dzierżawa gwałtownie będzie potrzebna, termin odnowienia kontraktu przypadał właśnie, pan Jacek po to nawet przybył do Żerbów; ndrząc więc postanowił łyka, kiedy według wszelkiego podobieństwa drzeć się mogło. Wszyscy spoglądali na drzwi, niespokojnie oczekując przybycia pana Aleksego, ale ten nie przychodził, a pani Drabicka ciągle mierzyła płótno.

— Słyszeliśmy coś,—odezwał się pan Mamert pocichu — czy też to prawda?

— A co to tam panowie słyszeli? spytała pani Drabicka.

— Jakoby pan Aleksy chciał się oddzielić od pani? — dodał grzecznie pan Mamert.

— Alboż to nie czas, odparła starszuszka,—żeby poszedł na swoje?... Jaś zostanie przy mnie...

— To już do szkół go pani nie poszle? — rzekł pan Ultajski.

— Prawie skończył.

— I lepiej, dodał Mamert, — ot ja... z trzeciej... jak Boga kocham z trzeciej...

— A ja, z żadnej! — zaśmiał się Ultajski.

— I ani widać tego! — szydersko dorzucił, zapalając cygaro pan Pryscjan.

Na te słowa wszedł Aleksy; spojrzeli mu wszyscy w oczy, szukając zmian na twarzy, i pospieszyli ścisnąć za rękę; trochę zazdrości, trochę ciekawości malowało się w ich oczach.

— A! witamy! witamy pana!

— Oto pan gościł długo!

— Teraz też znów w domu posiedzę...

— E! wątpię, odezwał się Pryscjan — jak się to raz zakosztuje tego towarzystwa, nie łatwo się od niego oderwać.— Mówili tak po troszę, rzucając słowami i czekając jedni na drugich, żeby uwolniwszy się od siebie sam na sam zostać z panem Aleksym.

— Ja mam do pana dobrodzieja interesik, rzekł Ultajski, którego sprawa tyle ceremonji nie wymagała.

— Pomówimy o nim...

— Chciałbym pann słówko na osobności powiedzieć,

— szepnął pan Mauert.

— Miałbym prośbę do ciebie, odezwał się Prysejan... ale o tem potem...

Stara Drabicka ruszała tylko ramionami, jeden i drugi wzięli za czapki, udali że wychodzą, żeby przykładem pociągnąć innych i spojrzawszy w koło przyzostali; nikt się nie ruszał. Pan Jacek najsmielszy wziął pod bok pana Aleksego, i odprowadził go do drugiej izby.

— No! a co będzie z nami? — zapytał naiwnie, postawiając się udawać, że nic nie wie o rozdzieleniu się Drabickich i myśli zamieszkania na jego części, jaką miał Aleksey, rachując na to, że ją weźmie.

— Jakto? a cóż ma być?

— Weźmiesz pan moją część czy nie?

— Wszakże ją trzymam...

— Do marca, ale na dół?

— Zgodziliśmy się przecie.

— To jest, nie ze wszystkiem, rzekł pan Jacek... bo ja... bo ja, widzi pan, za tę cenę ustąpić nie mogę...

— Wszakżem podniósł temutę!

— Ale to nie dosyć, zawołał Ultajski... ja tak puścić nie będę mógł — słowo *onoru*, nie będę mógł... pan grosz na groszu zarabiasz...

Aleksey popatrzał mu w oczy, domyślił się wykretności Ultajskiego, który sądząc, że będzie zmuszony wziąć dzierżawę nie mając kąta, korzystać chciał z tego i drożył się w przekonaniu, że coś utarguje; ruszył ramionami i zimno odparł.

— Nie dam więcej ani grosza!

— Nie da pan?

— Nie mogę...

— Ale pan zarabia?

— Bo pracuję, rzekł Aleksy zinnno — inaczej pocóżbym trzymał.

— Zapewne pan wiesz, dodał wyświecając swoje położenie Drabicki — że my się z matką rozdzielamy; prawda, że miałem zamieszkać na pańskiej części, ale jeśli jej nie weźmie, to mi kto inny puści i dam sobie rady..

Ultajski się zarumienił, miał jeszcze kroplę wstydu.

— Słowo *onoru!* rzekł — słowo *onoru*, nie wiedziałem... pan może myśli, że ja umyślnie podróżylem się...

— Ja nic nie myślę, odparł Aleksy, ale proszę pana, żebyś się rozmyślił, bo tenuty nie podniosę i będę sobie szukał dzierzawy gdzieindziej.

— No! no! ściskając go i śmiejąc się dodał pan Jacek... jakoś to będzie! porozummiemy się... potem.

Szmer w pierwszym pokoju wywołał ich do niego, słyhać było wykrzykuik pani Drabickiej:— A toż znowu co? — i szepty zgromadzonych; widocznie coś zaśzło niezwycajnego. Na progu spotkał się Aleksy z listem, który nioła mu Pałaszka.

— Zkad? spytał.

— A z Karlina! — odpowiedziała okiem pełnem wyrzutu, mierząc go matka — teraz wszystko z Karlina — dodała pocichu.

Aleksy zadrżał i zmieszał się.

— Człowiek o odpowiedź prosi, szepnęła Pałaszka...

— My tu państwu przeszkadzamy... odezwał się pan Mamert, szósty raz biorąc czapkę... — Upadam do nóg, a co się tyczy mojego interesiku, ten jutro...

Tak jakoś jeden za drugim powynosili się szczęśliwie, zamyśleni, mocno znowu listem zaintrygowani, przy-

zostając, zgadując, i Aleksy drżącą ręką pismo rozpieczętował. Było ono od Juliana, który do niego odzywał się w tych słowach :

„Karlin 29 lipca...18...

„Ledwieś odjechał, już znowu ścigam cię i prześladuję listem moim. Zgadłeś, że pokoju odemnie mieć nie będziesz i nie darmo tak długo unikałeś od Karlina. Przyjacielu! dobry przyjacielu, rady i pomocy od ciebie potrzebuję, więcej może niż tych obojga; ale wiem do kogo się odzywam... nie dla zabawki i roztargnienia, nie z potrzeby serca proszę cię byś przyjechał, są ważniejsze daleko powody. Nie mogę ci się z nich obszerniej wytłumaczyć, ale zaklinam nie odmawiaj mi, przybądź najdalej jutro rano; prezes i Anna proszą cię razem ze mną. Twój Julian.“

— A co? spoglądając na syna, odezwiała się pani Drabicka — znowu do tego Karlina....

— Kochana matko, rzekł Aleksy, przeczytaj sama, przekonasz się, czy odmówić podobna...

— Nie! nie! jakeś już raz stanął nogą na ich progu, ich jesteś, przepadłeś dla nas! Wiedziałam o tem dobrze! Otarła łzę tajemną, po opalonym spadającą policzku.

— Daj Boże by ci tam szczęście zaświeciło — daj Boże; ale jeśli zboleły, zabity, powrócisz kiedy pod strzechę starą, nie obwiniaj mnie Aleksy... Pamiętasz — w ciągu tych lat mówiliśmy nie raz o Karlinie, wspominałeś mi, że tam mieszka twój towarzysz i przyjaciel, odwodziłam cię od oduowienia z nim stosunków; nic to nie pomogło, niech się stanie wola Boża... Dar-mobym ciebie gryzła moje dziecko... dajmy temu pokój... Rób już jak ci się podoba... mówiłam ci, że je-

stes wolny...

Aleksy pocałował ją w rękę z uczuciem, matka wyszła do swojego pokoju, on poszedł odpisać, że przybędzie nazajutrz rano.

Sam na sam z sobą i myślami znalazłszy się w spokojnej swojej izdebce, z przeczuciem smutku jakiegoś upadł na sofę i zadumał się ciężko. To co go otaczało, przypomniało mu stan jego duszy przed kilką dniami. Aleksy przeląkł się, porównywając go do dzisiejszego... innym był człowiekiem. Tak wielki wpływ wywarł nań kilkodniowy pobyt w Karlinie i jedno na Annę wejrzenie. Zdawało mu się, że żyć bez niej nie potrafi, patrzeć przynajmniej na nią, słuchać jej zdaleka, czcić ją niewidziany pragnął. Z uczuciem tem walka była niepodobieństwem; nie wymagało wiele, nie roziło szczęścia, nie spodziewało się dojść do niczego, żyło samo sobą, samo w sobie, ale jakkolwiek świeże, głęboko już było do serca przyrosłe. Strata spokoju, zmiana położenia, żal matki obok niego wydawały się drobnostkami; Aleksy przeczuwał cierpienie i nie obawiając go się, ledwie nie pragnął boleć i poświęcać się dla nich. Im dłużej milczało serce w tym człowieku, tem teraz odzywało się silniej o prawa swoje... Nie pomyślał nawet, żeby się zwyciężyć, przekonać, usunąć, i szukać lekarstwa w oddaleniu i pracy; groźna przyszłość zdawała mu się już koniecznością jego losu, miłość ta przeznaczeniem, fatalnością, ale razem jedyną życia gwiazdą.

A jednak westchnął żegnając powabną, czystą i cichą izdebkę swoją, w której samotny z geniuszami tylko ludzkości, z duchami wieków obcował; poczynął nową, ciężką epokę życia, w której także braknąć mu

miało towarzysza, bo mógłże się komu powierzyć, mógłli wydać z tajemnicą swoją i podać się na pośmiewisko?

M mało ludzi potrafiłoby odważnie stanąć tak w oko nagej, zimnej przyszłości bez nadziei; dla większości miłość ta byłaby niepodobieństwem, potrzeba było wybranego serca, co idealnie kochać mogło, nie żywiąc się tem, czem pospolici żyją kochankowie, myślą wzajemności, rozkoszani zwierzienia, samem odegrywaniem dramatu. Takie przywiązanie tajemne, ciche, niedające się odgadnąć, jest zawsze najczystsze, najsilniejsze, ale niestety rzadkie. — Zjawisko to moralne, w duszach tylko silnych i mężnych zrodzić się może, i daje miare gruntu na którym wzrosło.

V.

Nim zaprowadzim Aleksego do Karlina, sami tu wprzód zajrzeć jeszcze musimy. Prezes przyjechał pomieszany widocznie; nie uszło to oka jego dzieci (tak Annę i Juliana nazywał); przy obcym jednak nie odezwał się ni słowa, nie dał poznać po sobie więcej, że jakiś niepokój go dręczył, przemógł się, rozweselił, śmiał, żartował i Julian pierwszy jego humor wziął za coś przypadkowego, Anny jednak wesołością udaną nie uwiódł. Po odjeździe Aleksego, trafiwszy na chwilę, w której Julian był zajęty, prezes poszedł do pokoju Anny, Pole odprawiono, nie wiem pod jakim pozorem — zostali sami. Chwilę przygotowywać się zdawał stryj, potem stanął przed Anną i całując ją w głowę, rzekł powoli:

— Ty mężna jesteś niewiasta, tobie wszystko powie-

dzieć można i rady szukać u ciebie, potrzeba mi otwarcie pomówić z tobą o was.

Anna nie ulękła się, z uśmiechem podniosła oczy na stryja i odezwała się:

— Mówmy kochany stryju, mówmy kiedy potrzeba, znasz mnie i wiesz, że się nie boję niczego, prócz — coby nas splamić mogło.

— Dzięki Bogu nie ma jeszcze tak strasznego, rzekł prezes, ale wcześniej powinniśmy zapobiedz, aby was niedotknęła niepowetowana potem klęska. Na świecie, moja Anno, próżnobyśmy przeciwko temu protestować chcieli, lub temu zaprzeczać, majątek jest podstawą wszystkiego; on daje znaczenie, stanowisko towarzyskie... spokój, szczęście.

— Stryju! zaprotestowała Anna.

— Posłuchaj-no i nie przerywaj, zawołał prezes — nie przeczę, że majątek jest z twego stanowiska rzeczą podrzędną, ale ja, wasz opiekun, wasz ekonom, wasz ojciec, mało co więcej dziś dla was mogę, jak fortuny waszej pilnować, reszta w ręku waszem, w ręku Boga... Spuściłem się na Juliana, chcąc, żeby się wprowadził i żeby sam sobie potem mógł wystarczyć; patrzyłem nań zdaleka, widziałem, że pracuje szczerze, podbudzałem go, chcąc wyrobić zeń człowieka — ale dziś widzę, że to niepodobieństwo...

— Jakże chcesz stryju, żeby tę poetyczną, wielką i piękną duszę, mieszczącą się w tak delikatnej istocie, przerobić i naturę jej odmienić? Ja od razu wiedziałam, że Julian zamęczy się bezskuteczną pracą i ofiarą... to nie jego rzecz...

— Smutno jednak pomyśleć.

— Prędzejbym już ja na co się przydała... cicho ode-

zwała się Anna.

— Dajże mi pokój! rozśmiał się prezes. — Wejrzałem świeżo i szczegółowo w interesa wasze, w sposób ich prowadzenia, i choć widzę starania Juljana, przeląknęłam się jego nieudolności... Człowiek ten wszędzie wprowadza z sobą element ideału, który w interesach jest żywiołem rozprzegającym... nie pojmuje ogółu, nie ma planu; serce widoczne, ale głowa jest gdzie indziej, męczy się bez skutku, zarzyna i bruździ... na to coś poradzić potrzeba...

Anna smutnie spuściła głowę...

— Włosy mi powstały na głowie, gdy się zbliżałam przypatrzeć wszystkiemu, czas radzić na to. Po mnie, choćbym wam chciał dać miliony, wezmiecie nie wiele, nic prócz kłopotów; jejmość szasta zagranicą, a ja tu jej weksle opłacać muszę i coraz nowe długi robię... zresztą służąc ciągle współ-obywatelom, nadwerżyłam także fortuny... o sukcesji pana Atanazego nie ma co i mówić; daj Boże, żeby do śmierci miał wyżyć z czego, tak to tam codzień gorzej...

— Ale mój stryju, nie posadzisz nas, byśmy kiedy rachowali na spadki wasze... Karlin aż nadto dla nas wystarczy... Emil nic nie potrzebuje prócz kątka i przyjaźnego czuwania, ja zamąż iść nie myślę i nie pójdę...

— Tak, póki kogo sobie nie znajdziesz... rozśmiał się prezes; choć zaprawdę godnego ciebie nie znam...

— Nie dla tego, mój stryju, nie rozumiecie mnie; ale mam obowiązki, których się nie zaprę... Juljanowi zaś dość także, zdaje mi się, Karlina, kiedy mu nikt z niego nic nie odbierze.

— Tak! zapewne, czysty Karlin ślicznaby rzecz by-

ła: ale wy macie długi i codzień się jeszcze nieopatrznością zwiększają, nieumiejętnem prowadzeniem rosną... to grozi zupełną ruiną. Julian nic nie wie i wiedzieć nie będzie o tem, że was postawił nad przepaścią.

— Jak to! łamiąc ręce przerażona spytała Anna...

Prezes spojrział na nią i rozśmiał się uspokajająco.

— Nie obawiaj się tak bardzo — do dziś dnia nic jeszcze nie ma groźnego, wszystko się da naprawić... ale nato potrzeba czynnego, wprawnego człowieka, któryby się całkiem interesom waszym i gospodarstwu poświęcił... Julian spocznie, ożenim go może.

— A! ożeńmy go, zawołała Anna, on tęskni sam jeden, jemu koniecznie potrzeba silnego serca i dłoni co by go na drogę życia wywiodła...

— Tak! tak! bogatej dziedziczki i pocziwej prozą po ziemi chodzącej kobiety... Powiedz mi Anno, nie dostrzegłaś żeby się do kogo skłonił? nie ma on tam już jakiego skrytego przywiązania?

Zadając to pytanie prezes myślał o Poli, ale Anna odpowiedziała mu dobrodusznie.

— O! nie, między nami nie ma tajemnic... Julian może dla tego tak smutny, tak znudzony chwilami, że sercu jego dom nie wystarcza...

— Być może, odparł stryj z roztargnieniem — być może, ale o tem czas będzie pomówić gdy się pomyśli; ja mam coś uprojektowanego. Teraz pora coś w interesach zrobić: nie powiem mu powodu, dla którego radbym żeby sobie tylko ogólny ich ster zostawując, komu innemu je polecił... ale znajdzie sposób naprowadzenia go na drogę... chodźmy do niego Anno, ani słowa o tej rozmowie.

Juljan siedział w swoim pokoju zadumany, z cygarem w ustach, przerzucając leżący na kolanach ostatni numer jakiegoś francuskiego przeglądu, gdy Anna ze stryjem weszli do niego, z wesołemi twarzami.

— Coż ty tak sam siedzisz? zapytał prezes — i także mi się zacinurzył.

— A! zdziwił mnie przeklecie rachmistrz... miałem trzech ekonomów i kupę ludzi, trzy godziny musiałem z nimi mówić o tem, co pół kwadransa rozbierać nie było warto; ale z tego rodzaju istotami długa rozmowa jest formą konieczną, prędko ich odprawić, chociażby się wszystko co chcieli zrobiło, nigdy ich nie zaspokoili. Potrzebują się wygadać.

— Ciebie to okrutnie męczyć musi, rzekł prezes.

— Nie powiem, żeby to było zabawne... pan Bóg musi na to stwarzać umyślnie pewne idywidua, ale gdzie się to one podziewają, że ich nie widać?

— Chodzi ich mnóstwo po świecie... nam, zapewne, jest to dokuczliwe i ciężkie, co dla nich zajmującym się wydaje i życie ich zapełnia. To też dobrze rozważwszy powiedziałbym, że kiedy kto w sobie nie czuje talentu do gospodarstwa i interesów, zamiast się męczyć niemi, i robić nie do rzeczy z wielkim wysiłkiem, powinien się kimś wyrećczyć...

Juljan spojrzał na prezesa...

— A cóżbyś to stryju powiedział, gdybym ja przyszedł do tego wniosku?

— Powiedziałbym, że masz rozum, kochany Juljanie.

— Samiżeszcie mnie do tej pańszczyzny zaprzegli.

— Tak, ale to była próba konieczna, do czasu, musiałeś się oswoić z interesami i zarządem majątku, aby się nie dać oszukać: potrzeba cię było wypróbować,

dziś, gdy oswojony już jesteś dostatecznie, a z doświadczenia okazało się, że to nie twoja rzecz...

Juljan się zarumienił...

— Myślisz więc stryju, że tak bardzo źle gospodarzę?

— Nie, ale to cię nazbyt kosztuje... mój drogi, *et le jeu ne vaut pas la chandelle*.

— I ja tak myślę, dodała Anna — Julian się tem zamęcza...

— A kiedy to obowiązek! z westchnieniem odpowiedział Karliński — jestże na to środek jaki?

— Najłatwiejszy w świecie, rzekł pzezes przechadzając się — tobie czas spocząć, zbliżyć się trochę do świata, przejechać, a jeśli ci się co trafi, ożenić... tymczasem kogośby wynaleźć można, coby ciebie w Karlinie zastąpił, równie gorliwie a skuteczniej.

— Gdziez znaleźć kogo takiego? zbliżając się do stryja zapytał Julian, uśmiechając się ze źle pokrytą radością — wyznaję, że wcale bym się temu nie przeciwiał.

— Ja ci człowieka dam i ręczę, że ty się na niego zgodzisz, odparł stryj siadając. — Twój przyjaciel Drabicki.

— On! on! — zakrzyknął Julian...

— Posłuchaj! widziałem go tu, dosyć mi się podobał, a że mam zwyczaj zawsze o ludziach pytać i dowiadywać się, nie ograniczając mojem własnem wrażeniem, badałem sąsiadów; cuda mi mówią o jego pracowitości, gospodarstwie, zajęciu się interesami. — Jedyny dla ciebie człowiek!

— Prześlicznaby to myśl była! rzekł Julian — szkoda tylko, że do urzeczywistnienia niepodobna!

— Dla czego?;

— Dla tysiąca przyczyn... naprzód, on tak jak ja, z musu jest tylko gospodarzem a w duszy poetą...

— Ale przecie spełnia swój obowiązek i szczęśliwie i z siłą duszy.

— Tak, dla matki i braci... to co innego.

— To, co on tam zyskuje, łatwobyśmy mn z nadatkiem wynagrodzić mogli; wy, ja i stryj Atanazy, jeśli będzie potrzeba, złożylibyśmy się na to; nie ścierpim, żeby darmo dla nas pracował, opłacilibyśmy go sowicie. Czemużby nie miał się tego podjąć i przez przyjaźń dla ciebie, i dla poprawy swojego własnego losu?

— Ale któż go w domu zastąpi?

Juljan opierał się zrazu, rozprawiali, ale powoli myślał, w początku dziwną mu się wydająca, coraz okazywała się możliwszą i bardziej przylegała do serca... Zadumał się, wahał, nareszcie przystał na to, żeby do Aleksego napisać.

Chwilami jednak, wyprawiwszy już posłańca, zważając niepodległość charakteru Drabickiego, jego dawny sposób życia, obowiązki względem familji, stosunek do matki surowej, powątpiewał o skutku, to znów wystawiał go sobie łatwym do osiągnięcia. Czuł, że nowe położenie Aleksego byłoby trudnem dla nich obu, po poufalej przyjaźni uniżającym dla tamtego, krepującym dla Juljana. Wszystko to przemogły uwagi prezesa, słowa Anny; a choć stryj zgadzał się na wiele z Juljanem, na wszystko znajdował radę, z pańskiego zawsze stanowiska patrząc na ubogiego pracownika, który powinien się być zaprzedać, potrzebując grosza i zarabiając na niezawisłą przyszłość.

Rozmowa toczyła się, przerywana kilkakrotnie, pra-

wie do przyjazdu Aleksego, który wszystkich ich zastał znowu w pokoju Juliana; po chwili wyszła Anna, przyjaźnie go i poufale przywitawszy, a prezes towarzyszył jej, zostawiając przyjaciół sam na sam z sobą.

— No, teraz do dzieła! — zawołał Julian podając mu rękę — a naprzód przyjacielu, daj mi twe stare koleżeńskie słowo, że cokolwiek będzie, nie pogniewasz się na mnie.

— O dobrem twem dla mnie sercu jestem przekonany — zawołał Drabicki, a z dobrego serca wszystko przyjmę wdzięcznie; mów a śmiało.

— A gdybym wielkiej od ciebie żądał ofiary?

Aleksy się uśmiechnął, ruszając ramionami, zarumieniał się zarazem, gdyż Anny obraz miał na myśli.

— Cóż to być może? spytał, nie pojmując...

— Mój Aleksey, mój drogi Aleksey — ciągnął dalej Julian, proszę cię, tylko zrozumiej mi dobrze... pomocy twojej żądam do gospodarstwa i interesów; pokazuje się bowiem, widzę to sam, choć prezes nie chcąc mnie martwić, nie mówi wyraźnie, że nie wystarczę wszystkiemu. Zdaje mi się, że i tak już z mojej winy straty trochę ponieśliśmy... dwie raty banku nie opłacone, procenta pozalegały, gospodarstwo zapuszczone w niektórych folwarkach... ratuj przyjacielu... Jak widzisz, nie małej rzeczy żądam od ciebie; proszę cię, żebyś sobie wziął ten ciężar... nie myślę też dać ci go dźwigać daremnie...

Spojrzał na Aleksego, który się zapłonił... walczyły w nim dwie myśli, nadzieja zbliżenia się do Anny, i wstręt do położenia, które go w jej oczach unizyc miało — przyjął to jednak lepiej niżby się Julian mógł spodziewać.

— Jakkolwiek miło by mi było mojem poświęceniem dla was dowieść przyjaźni, odparł Aleksy po chwili — zważ, kochany Julianie, czego wymagasz po mnie? Z serca ci się ofiaruję, ale jestem ja panem siebie mając matkę i trzech braci, którym pierwszą z siebie winienem ofiarę?

— Naprzód, przerwał Julian, Żerby są tak blisko Karlina, że się z niemi nie rozstaniesz, myślałem o tem; powtóre, co ty tam zapracować możesz przy najmozolniejszych trudach?... Więcej daleko my ci ofiarować możemy, i tu stokroć nam i im pożyteczniejszym będziesz...

Aleksemu łzy stanęły w oczach...

— A! większej niż sądzisz wymagasz odemnie ofiary, kochany Julianie; jeszcze w tej chwili, choć nas rozdziela położenie towarzyskie, jesteśmy przyjaciółmi, jesteśmy równi w chwilach wspomnień i wylania... co się stanie z przyjaźnią naszą? I ją potrzebaby na ołtarzu złożyć... będę twoim sługą tylko.

Juljan się oburzył.

— Nie zrozumiałeś mnie.

— I owszem, wierzę w serce twoje, ale znam lepiej świat i ludzi... są położenia, którym się człowiek oprzeć nie może, są wielkie prawa, z których się nie wyłamie...

Zamyślił się Aleksy...

— Zdaje mi się, — rzekł po chwili, choć nie wierzę w ślepy los i przeznaczenie, że w tem wszystkim jest coś fatalnego, jest jakaś siła niewidoma, która to układa: na próżnoby się jej opierał. Matka moja, o czem wiedzieć nie mogłeś, nie ufając mi już jak przedtem, chce żebym się od niej oddzielił; daje mi zupełną swobodę...

— Jesteś więc wolnym.

— Zupełnie, ale czy zdatnym jestem do tego co po mnie wymagasz, wątpię. Co innego gospodarować na małym, a rządzić wielkim majątkiem; praca inna, metoda inna... wątpię czy bym podolał.

— Lepiej odemnie, prezes jest tego zdania, Anna...

— Jakto? oni ci to poddali?...

— Trochę, rzekł Julian...

Aleksemu przykro się jakoś zrobiło, ale uśmiechała mu się nadzieja pobytu ciągłego w Karlinie i myśl ta wszystkie inne przemogła; nie pojął tego, że przyjmując położenie służebne i podrzędne, wieczną i żelazną stawiał zapore między sobą a ideałem swoim, i tak już całym światem oddzielonym od niego.

— Rób ze mną co chcesz! — rzekł do rzucającego mu się na szyję Juliana z uczuciem głębokiem — pamiętaj tylko, żebyś tego nie żałował.

VI.

Ułożyło się więc nad wszelkie spodziewanie łatwo, jak chcieli Karlińscy, ale pozostawał najtrudniejszy orzech do zgryzienia dla Aleksego, oznajmienie o tem matce. Sam obawiał się nawet na to porywać; wiedział, że niejaki wpływ na nią miał stary Junosza, którego wdowa, szczególnież za wyrzeczenie się dobrowolne państwa i pozorów jego, lubiła i słuchała chętnie; postanowił więc udać się do Nadarzyna i z nim powrócić do Żerbów, żeby miał komu polecić swoją obronę. Z prawdziwą czułością podziękowano mu w Karlinie; Anna podała rękę, prezes zwycięski nie taił się ze swem ukontentowaniem, Julian uczuł jakby mu wielki ciężar spadł z ramion; nie było umowy drobnostkowej, Aleksy

musiał się odwołać do matki... Prosto więc ztamtąd kazał jechać, mijając Żerby, do Nadarzyna; tak się zwało miejsce obrane przez starego dziwaka na mieszkanie, a położone na skraju lasów, należących do kłecza Perewertowskiego, pani Izidorowej, córki hrabiego. Stary zwykle piechotą ztamtąd przychodził do Żerbów; nie było to daleko, ale droga szkaradna. Nadarzyn sam sobie wybrał i zabudował Junosza; był to cypel lasu przytykający do rozległej puszczy, jednej z najwspanialszych i najlepiej zaszczerdzonych w tych stronach; nieopodal przebiegała rzeczulka, miejsce było dosyć wyniosłe, dokoła ocienione, a w pośrodku starych dębów stała chata hrabiego. Inaczej bowiem nazwać jej było trudno, stawił ją sam właściciel, swoją myślą i po części ręką własną, z grubych kłoców sosnowych w zamki, pokrył słomą i otoczył zabudowaniami i ogródkiem, jakie się zwykle spotykają przy zagrodach dostatnich czynszowników. Fantazją jego było teraz obchodzić się jak najmniejszym i życie doprowadzić do najprostszego wyrazu. Umyślnie więc pozbawił się wielu wygod i przyjemności. Para krów, kilka owiec, trochę drobin, całe jego składało mienie, a dwór jedna kobieta, dziewczeczka do pomocy i wyrostek. Wszystko to chodziło po wiejsku i żyło po wieśniaczemu. Zewnątrz chata odznaczała się tylko porządniejszą budową, rozległością większą i starannością utrzymania, wewnątrz trochę od pospolitych była odmienną. Hrabia miał w lewo izbę z alkierzem, w prawo była kuchnia i czeladnia; w sieni kręciły się kury, karminy wieprzaczek, kilka gęsi i para indyków. Naprzeciwno, Junosza swoje izby urządził wedle myśli jaka nowemu życiu przewodniczyła; wyrzekł się nawet pamiątek przeszłości dla prostoty, chorował widocznie

na Diogenesa i codzień jakąś czarkę odrzucał, żeby mu nie ciążyła, dłonią własną zastępując wszystko.

Ulubionem jego czytaniem był manual Epikteta... i kilka ksiąg łacińskich filozoficznych, jak Cicero i Seneka. Moralność jego zależała przedewszystkiem na zupełnem oderwaniu się i oswobodzeniu od świata.— To co my mamy, mawiał często, pozornie naszym jest tylko; myśmy niewolnikami mienia a nie ono własnością naszą; przywiązujemy się by cierpieć, krepujemy do ziemi i marności, to też codzień malejem i więcej zależni jesteśmy.

Na tem budując nową życia swojego teorię, Junosza odepchnął wszystko co go więzić mogło i starał się obchodzić nieodzownem. System jego może był ciasny i brak mu było wypełniających go zasad chrześcijańskich, na których staremu wychowawcowi XVIII wieku zbywało, ale wytrwałość żelazna z jaką wprowadził go w życie własne i spełniał na sobie, dowodziła silnego charakteru tem więcej, że hrabia przywykły był i zepsuty przeszłością zbytku i przepychu.

W mieszkaniu jego nie prócz prostych ław i stołu, łóżko potrząśnięte sianem, przykryte grubą bielizną, strzelb parę, torba i odartych książek kilka. Dwa stare brytany wylegiwały się na prostej sosnowej podłodze pierwszej izby. Nie wiem jakim przypadkiem zastał go Aleksy; stary wyszedł do progu i podał mu szeroką, namulaną dłoń swoją.

— Otoż to gość pocziwy, chaty się mojej nie boi, rzekł hrabia uśmiechając.— No siadaj, proszę i spocznij... Choć nie mam zwyczaju przywiązywać się do nikogo, bo wszelkie przywiązanie niewolą i cierpieniem grozi, ale ciebie mój Aleksy prawie kocham... a szacuję wy-

żej wielu !!

Tych słów kilka były wielką pochwałą w ustach oszczędnego starca, który chętniej uaganiał niżeli oddawał sprawiedliwość. Dobre serce pokrywało się w nim umyślnie przywdzianą szorstką powłoką.

— No! ale cóż cię sprowadza, bo to darmo — rzekł, nie przyjechałbyś tak do mnie, masz mnie codzień u siebie, zatęsknić nie mogłeś... gadaj od razu; wiesz że nie lubię przyborów.

— Zgadłeś pan, na nieszczęście, zem przybył z prośbą, odpowiedział Aleksy. — Od niejakiemu czasu życie moje weszło na tor nowy i niespodziewany; sam nie wiem dokąd idę... i co z tego będzie.

— No! cóż się to stało? a! Karlin! domyślając się zawołał stary. — Może matka przy swoim starym rozumie ma słuszość, tobie to niepotrzebne... świat pracy a świat fantazji i państwa, to dwie całkiem odrębne sfery; w obu razem żyć nie można, pogodzić ich niepodobna... Świat nasz bliżej jest prawdy, tamten na fałszywej zbudowany posadzie, cały sztuczny... po co ci tam go szukać i z nim się bratać?

Aleksy wysłuchał cierpliwie; westchnął i po chwili namysłu odpowiedział:

— Są w życiu nieuniknione konieczności...

— Dla tych co w nie wierzą — odparł Junosza, — no, dalej, nie bój się, nie będę ci się sprzeciwiać; oddawna przekonany jestem, że człowiek cudzą radą iść nie może i nie powinien... skutecznie sam się tylko przez siebie wyrabia... mów.

— Julian był moim towarzyszem i przyjacielem, żąda mojej pomocy; dałem mu prawie słowo zająć się jego interesami i zarządem majątku...

— A Żerby? a matka?

— Matka zostaje z Janem; i tak rozdzielić się już postanowiliśmy; ja miałem osobno gospodarzyć na małej dzierżawie.

— Krok to ważny i ważniejszy może niż ci się zdaje, odezwał się Junosza — stanowi o całej twojej przyszłości, zmienia charakter... Byłeś ubogim i niezależnym, zaprzędasz się dobrowolnie... zważ co robisz?... gotujesz sobie przyszłość utrapioną. Najpoczeiwsii ludzie w końcu wydadzą ci się niewdzięczni, gdy położenie twoje uczyni cię sługą, a zbliżenie do nich w przekonaniu własnem podniesie. Co tam zarobisz? wiele upokorzenia za trochę grosza! Nie lepiej mniej mieć i nauczyć się małym obchodzić?

— Wszystko to prawda, rzekł Aleksy, ale mało znaćcie Juliana, panie hrabio.

Junosza dźwignął ramionami.

— No, czegoż chcesz odemnie? — zapytał.

— Abyście ze mną pojechali do matki i dopomogli mi wytłumaczyć się przed nią...

— O! to sęk! stara ci dobrze uszu natrze... Ha! ale jak widzę wpadłeś już w połapkę i wygrzałeś sobie w niej kątek; rób co chcesz; dziecko póki się nie sparzy, nie wierzy w ogień... oparzyć się musisz... Jedźmy!

Stary wziął czapkę, nieodstępny pecherz z tytoniem, fajeczkę i kij w rękę; siadł na bryczkę z Aleksym i pojechali do Żerbów.

Tu już szczęśliwy Jaś gospodarował z matką zawzięcie, a że mu uwolnienie się z ławy szkolnej i wyjście na człowieka i gospodarza niezmiernie pochlebiało, używał szczęścia po młodemu, nie spał, nie jadł i latał jak opętany; pani Drabicka wstrzymywać go musiała

od zbytku gorliwości. Zastali go lecącego na koniu w pole i właśnie wyjeżdżającego z podwórka; uśmiechnął się do Aleksego, uklonił hrabiemu i jak szalony, na złamanie karku poleciał. Pani Drabicka stała w ganku poglądając na Jasia razem i na przybywającego Aleksego i powtarzając w duchu swoje:

— Taki to nie mój Aleksey! ale — stań się wola Boża!

— Otóż zbiega jejmości przywożę! — zawołał wysiadając Junosza.

— Co to! oba byliście w Karlinie?

— Ja nie! — odparł hrabia, aleśmy się spotkali na drodze, i że mnie jejmość dawno nie widziałaś, a musiałaś zatęsknić...

— Miałabym o czem myśleć! odpowiedziała Drabicka — także hrabia zgadłeś!

— Nigdy się kobiety do uczuć swoich przyznawać nie zwykły, stara sztuka jejmościinniu.

Rozśmieli się starzy oboje.

— Przybyłem tedy, — mówił hrabia, razem z atencją i powinszowaniem.

— Znalazłeś mi pan czego winszować? ciekawam?

— Dwóch razem szczęśliwych wypadków.

— Aż dwóch?

— Naprzód, wyniesienia na godność gospodarza tego oto kawalera, który z radości, że mundur zrzucił, gotów sobie kark skrećić...

— Prawda, i konia mi ochwaci! — dodała pani Drabicka, jemu się nic nie stanie, ale...

— Ma pani rację, ale konia pewnie djabli wezmą, i nie jednego...

— No, a czego drugiego masz mi pan winszować?

— Drugie,— rzekł Junosza siadając na ławie w gan-
ku — daleko ważniejsze, i jeszcze nawet pani o tem nie
nie wiesz...

— Ot tobie masz... czy stertę nieogrodzoną było
nadjadło?

— Gorzej, jejmościuniu, panowie ci syna nadkąsili!

— A! toć o tem wiem...

— Nie ze wszystkim.

— Czy jeszcze jest co nowego?

— Pan Aleksy mianowany został rządcą, plenipo-
tentem i przyjacielem uprzywilejowanym Karlińskich.

Drabicka spojrzała na syna.

— Co to jest? — spytała.

— Tak, kochana matko, będę gospodarował im...
Ultajski droży mi się ze swoją częścią; więcej dla was
w ten sposób niż na tej lichiej dzierżawie zarobić po-
trafie.

— Ot to mu zaświtało w głowie! — bijąc w ręce za-
wołała matka... — to mu poszło na zgubę, nic go nie
wstrzyma.

— Ale cóż to złego? spytał hrabia.

— I pan mnie o to pytasz? — groźnie odparła wdo-
wa... i to pańskie przekonanie? A na cóżeś włożył tę
siermięgę, panie hrabio, czy żeby się z pod niej fałsz
wydawał szczerzym? Czyż pan tak myślisz w istocie,
że to szczęście dla mojego syna ze swobodnego czło-
wieka stać się płatnym sługą?

Stary Junosza brwi ogromnie namarszczył, brodę
potarł i głowę spuścił.

— Kiedy z tej beczki zaczynamy, rzekł, kłamać nie
będę; ja tego nie pochwalam, ale wierzę w to, że czło-
wiekowi swobodę zostawić należy; niech robi co chce,

inaczej go jejmość trzymając na pasku, zawsze dzieckiem mieć będziesz.

— Przecież go uwolniła, ale nie na to żeby poszedł służyć! odparła matka.

— Moja kochana matko, przerwał Aleksy, znasz mnie przecie; w ładającą służbę bym się nie wprzął, znam Juljana, to mój przyjaciel... to nie służba...

— Tak! maluj to sobie jak chcesz! a cóż tam będziesz robił? próżnował? tam ci gorzej!

Aleksy zachmurzył się, matce żał go się zrobiło.

— Mam obowiązek prawdę ci powiedzieć, rzekła zmieniając głos, ale nie będę ci stawiać na drodze... mówiłam ci raz, jesteś wolny... Ale pomyśl, pomyśl! co sobie gotujesz! wiesz, zastanowiłeś się, jakie położenie przyjmujesz? jaki ciężar? jakie sądy? I przyjaciela stracisz, mogę ci to przepowiedzieć z góry, i nic tam prócz zawodu nie znajdziesz!

— Coś nakształt tego i ja mu mówiłem, dodał Junosza, ale oboje musiny pójść w ką z naszym starem doświadczeniem...

Aleksy zniósł ten pierwszy napad z pokorą, w milczeniu; dopiero gdy się stara nieco uspokoiła, gdy mu mówić dozwolono, wy tłumaczył się lepiej, obszerniej, otwarciej wystawił swoją przyszłość jak ją widział, obliczył korzyści materialne, które istotnie byt rodziny polepszyć mogły i wskazał matce, że więcej dla nich niż dla siebie robił tę ofiarę.

— Skwitowalibyśmy cię z niej, odpowiedziała pani Drabicka, ale widzę, że nic nie pomoże; gotoweś mnie nawet przekonać... Zawsze miałam jakieś przeczucie, że nam ci Karlińscy biedy naniosą; imię ich robiło na mnie przykre wrażenie, dowiedziawszy się, żeś tam był,

zadrżałam w duchu... Stań się więc wola twoja Panie!

Starej łza błysnęła w oku, którą szybko otarła.

— Nie mówmy już o tem, rzekła. — Twój dziad, pradziad, ojciec nie służyli nikomu; ubodzy byli, na małym przestawali i dobrze się im działo... chcesz innego chleba spróbować, ja ci nie wzbronię, ale prze-czuwam dla ciebie los ciężki! Kto wie co cię tam czeka! Nabierzesz przywyknień pańskich, wzgardzisz nami, staniesz się niedoperzem jakimś, którego ptaki ani myszy nie przyjmą. Wolalabym cię orzącego zagon pocziwie w pocie czoła i śpiewającego z skowronkiem; tam cię śpiew i spokój odleca.

Na tem skończyła stara, i milczącego Junoszę skienieniem poprosiła z sobą do środka domu.

VII.

Ani uwagi matki, ani szyderstwa hrabiego Junoszy, ani własne przekonanie o następstwach jakie ten krok pociągnąć musi za sobą, nie wstrzymały już Aleksego, który tłumacząc się fatalnością, w istocie pociągnięty uczuciem tajemnem, poszedł służyć Karlinowi i jego mieszkańcom. P. Jacek Ultajski, który się drożył ze swoją częścią w Żerbach, w nadziei, że będzie Alekse-mu koniecznie potrzebną, spuścił z tonu i ceny gdy się dowiedział, że Drabicki wcale na niej osiadać nie myśli; została więc dzierżawa na starych warunkach przy Jasiu i matce.

Dla Juljana to przybycie towarzysza było dniem niewypowiedzianej radości; sam on wybrał mu 'mieszkanie w zamku na dole, z wyjściem na ogród, złożone z kilku pokoi, urządzone smakownie, wygodne aż do

zbytku i tu Aleksego pomieścił. Małe schodki łączyły ich z sobą. Przybyszowi w starych sklepionych izbach było smutno, obcym się tu czuł i podrzędnym, gdy w domu panem być przywykł i ogniskiem swego małego światka. Kiedy pierwszy raz spotkali się z Polą, wesola dziewczyna spojrzała na niego pierwszy raz smutnie i z litości wyrazem.

— A! i pan tu! — odezwiała się wzdychając... dobrze, będziemy się wspierać wzajemnie; jesteśmy tu jak wychodźce z jednego kraju, jak dwoje ubogich Irlandczyków pod niebem nowego świata będziemy razem zielony Erin wspominać! Ale zkądże się to wzięło?

— Ja sam nie wiem, odparł Aleksey wzruszony — przed kilką miesiącami byłbym się rozśmiał lub oburzył z tego rodzaju propozycji, a dziś... jak pani widzi, przyjałem...

— Do wielu rzeczy człowiek przychodzi których się nie spodziewa!, zawołała Pola... — i mówią, że ma wolę... Ma dołę... temu nie przeczę, ale swobody!! — Rozśmiała się rzucając mu wejrzenie szyderskie trochę i smutne...

Pomimo przepowiedni przykrych, jakich nie szczędzili Aleksemu matka, stary Junosza, on sam, życie w Karlinie wcale się nie zwiastowało z tem obliczem przymusu i poddaństwa; Aleksey mógł zachować jakąś niezależność w domu, którego był niejako panem i poufałość z Julianem i codziennie lepsze stosunki z Anną, która się przywiązywała do niego. Wszystko to przeszło zrazu oczekiwania jego: uczynił się był małuczkiem aby nie dawać powodu do upokarzania, ale ta ostrożność zdawała się zbyt uczynną; jeden przeczes, choć grzeczny i poufali w swoim obejściu, dawał czuć nieznacznie Ale-

ksemu jak nierówno stali na szczeblu towarzyszkim. Jego zbliżenie nawet i uprzedzająca grzeczność, cieniowały się wewnętrzną dumą, i stanowiły jakby umyślne przypomnienie dla Drabickiego, by się równym im nie sądził.

Nie mu zarzucić nie było można, do niczego się uwiązać, czuleś przecie, że na dnie nie ma tam ani szerego uczucia przyjaźni, ani szacunku takiego któryby zatarł przedział pomiędzy nimi. Prezes cenił Aleksego, ale usilnie pragnął utrzymać go na właściwym stanowisku, właśnie dla tego, że się domyślał, że go pośadzał o jakąś chętkę zapomnienia o położeniu, że przyjaźń Juljana, czulsza i starsza dawała do tego powody. Co się tycze Anny, ta przywykła, rzec można, do nowego domownika, oceniła, zbliżyła się doń, ale zarówno z prezesem trzymała go zdala powagą i temu niewytłumaczonem uczuciem godności rodu, które jej było wrodzonym. Obok cnot wszystkich, obok gorąco pojętych zasad chrześcijańskich, było w Annie jakieś przekonanie wyssane z mlekiem o swej wyższości rodowej.

Zziębłe dziecię w lachmanach, ubogą kobietę, żebraczkę byłaby przytulila w imię Chrystusowe, napoiła, ogrzała własną odzieżą; ale nie wiem, czy jakiś świeżo wyszlachcony dorobkowiec podający jej rękę, jaka bankiera żona, siadająca przy niej do stołu, byłaby przyjęta bez uśmiechu i przykrości. Pojechałaby do umierającej nieszczęśliwej, ale nie wiem czyby chciała odwiedzić najzacniejszą kobietę niepewnego pochodzenia, i czyby ceniąc nawet jej serce, chciała się z nią przyjaźnić. Anna w tym względzie nigdy się nad sobą nie zastanawiała, nie rozumowała, szła instynktowo i mimowolnie; nawet z Polą, dla której nie miała tajemnic,

była jak opiekunka z sierotą raczej, niż siostra z siostrą. Wśród ich poufałości był niedostrzeżony odcień, nie dający się zupełnie wylać jednej, całkiem wynurzyć drugiej.

Podobnych Annie wieleż istot najgodniejszych szacunku spotykamy po świecie, co z słabością swą nie walczą, bo jej nie znają, bo ją nie mają za słabość. Juljana wyleczył trochę pobyt w uniwersytecie z przesadzonego pojęcia o wyższości krwi; ale i tu przekonanie trwało, podparte tylko rozumowaniem uiby filozoficznem i zasadą jakąś nunięj więcej dającą się do życia zastosować.

Aleksy z całą gorączką młodości, przyjaźni, gorliwości rzucił się do powierzonego mu dzieła. Pierwsze nań wejrzenie przeraziło go; nie chciał trapić Juljana i nic mu nie mówił, ale nie ukrywał przed prezesem, w jak złym stanie zastał wszystko. Julian pracował, ale nadto był powolny, zbyt pocziwy i młody, żeby podołał sprawie, w której i ludzką ułomność i słabości ludzkie potrzeba mieć na względzie. Szperanie w ludziach i ich czynnościach zbytby go niepokoiło i nadto było przykrem. Często wiedząc, że z niego korzystają, Karliński się przed sobą jak mógł tłumaczył, byle nie być zmuszonym zawstydzić kogoś lub z kimś się otwarcie poróżnić, dawał się oszukać chętnie i korzystano z tej jego słabości, grając przed nim komedje w maskach, których zdrzeć nie miał odwagi. Ta powolność, a raczej bezsilność wielkie już szkody zrzędziła w gospodarstwie i interesach; ekonomowie, rządcy, usłuźni lichwiarze obsiedli Juljana, zawsze mu rzeczy najszcześliwiej, najpiękniej przedstawując, nie martwiąc go, pochlebiając mu i oszczędzając zajęcia, ale wypróżniając kieszenie

powoli. Aleksy zastał dwie raty banku nie opłacone, mnóstwo drobnych dłużków i karteczek lichwiarskich, sprzedaż w najnieporządnieszy sposób prowadzone i trwonione, rachunki zawiklane i bez ładu. Przestraszył się, ale nie zwątpił. Widząc, że w początkach wszyscy się od niego uciekali do Juliana i u niego szukali wstawienia, wymógł naprzód na Karlińskich, żeby się zrzekli wszelkiego pośrednictwa, potem surowo i nieubłaganie wziął się do spraw i do ludzi. Czynny, rozsądny, surowy a sprawiedliwy, w prędkim czasie zapobiegł szerzeniu się złego i odetchnął, gdy w dali skutek zobaczył. Skarżono się na niego przed Anną, prezesem, przed Julianem, usiłowano mu szkodzić, ale nie udało się to wszystko; poddali się więc niechętni, usunęli ci co korzystać nie spodziewali i powoli cisza zwiastować zaczęła dopelnioną reformę.

Życie to wśród pracy miało swoje przyjemności. Cały dzień wprawdzie upływał na zajęciu i w ciągu jego Aleksy rzadko widywał Karlińskich; ale wieczorem schodzili się na herbatę, bawili razem, a po wiozeczki długo często w noc z Julianem rozmawiali. Uważał to Drabicki, że po niejakiem czasie Julian, który w początkach zwierzał mu się z swego przywiązania do Poli, nagle zupełnie mówić przestał; wziął to za zły znak, począł się przypatrywać baczniej, ale w obejściu ich nic nowego nie dostrzegł. Czasem westchnął Julian, ale że zwierzeń nie wywoływał Aleksy, na słówku się kończyło.

Tymczasem idealne owe uczucie dla Anny rosło ciche w sercu Aleksego, samotne, o swej sile, nie podsypane niczem, chyba zwiększajacem się uwielbieniem dla tego anioła. Z bliska widziana Anna zyskiwała jeszcze, życie jej nie należało do niej; nigdy nie my-

ślala o sobie, żyła całkiem w bliźnim i w Bogu... brak jej było może czegoś ziemskiego, choćby chwili oblakania i upadku, choćby znizenia się do ludzi, by się bardziej kobietą ukazała, ale dla Aleksego im bardziej idealna, tem wyższą była istotą. Właśnie ten jej chłód posagowy, to wyrzeczenie się serca, które było za i dla drugich, a nigdy dla siebie, czyniły ją tak wielką i piękną, tak niepokalaną i czystą. Drabicki patrzył i podziwiał tę jej majestatyczną odrętwiałość, to ostygnięcie niepojęte, tę obojętność dla świata i dla ludzi, to zajęcie życia tak umiejętne, że jej niczego nie zdawało się brakować. Szukał w jej oczach słabostki ludzkiej i nie mógł jej znaleźć; na twarzy śledził rumieńca drażliwości i znajdował go tylko czasem w dotknięciu rodowej dumy, lub drogich jej osób. To uczucie, które zwiemy miłością, a które zdaje się być potrzebą młodości, obce jej było zupełnie; nie czuła się do niego powołana, śmiała się z niego jak ze złudzenia lub dzieciństwa. Kiedy się Poli wyrwało słówko niebaczne, ruszała ramionami, uśmiechała się z politowaniem, i tak przyzwyczaiła otaczających do swej obojętności, że przy niej o drażliwym przedmiocie mówić nawet nie śmieli.

Prezes, śmiejąc się, nazywał ją świętą; Julian ostygał, gdy nań spojrziała siedzącego przy Poli; Aleksey drżał na myśl, żeby go Anna nie odgadła i jak świętokradcę z kościoła nie wygnała... Zdawało mu się nie raz, że wzrokiem swoim ją plami, że myślą samą jej uwlacza.

A jednak Anna była miłą, pociągającą, uśmiechniętą, łagodną przy swej powadze, pobleżającą dla ludzi i niewyczerpanej dobroci i poświęcenia. Rysy i wyraz jej twarzy zdawały się więcej zwiastować niż słowa do-

trzymały; czasem wejrzenie palą, czasem oko jej zapalało się, smutek jakiś zwiastował cierpienie duszne głębokie, ale te tajemnice nigdy nie objawiły się na zewnątrz. Życie jej było zapelnione i niezmiernie czynne; modlitwa, starania około Emila, leczenie chorych, ubodzy, czytanie pobożne, trochę rysunku zajmowały wszystkie jej godziny, żadna z nich na dumanie, na spoczynek z myślami i sercem nie pozostawiała.

Każdy inny możeby się zraził tą doskonałością, tem słońcem bez plamy, na które spojrzenie zaślepiało. Aleksey kochał się po cichu w swoim ideale, nie myśląc go sprowadzać na ziemię. Jej piękność wzniosła, jej charakter i serce zarówno w nim wzbudzały uwielbienie, ale tak się czuł niższym od wybranej istoty, że często słowa mu zamierały na ustach, nim się do niej przemówić odważył, i długo potrzebował ośmielać się, ożywiać, nim serce jej swoje otworzył.

Może ze wszystkich młodych ludzi, jakich znała, Aleksey najlepiej podobał się Annie, ale serce jej nie poruszyło się żadnym dowodem czci i przywiązania, nie zabiło w piersiach dla niego.

Dla niej zawsze to była istota innego świata, innej natury i pochodzenia, a może kochać tak jak drudzy kochają, nie mogła jeszcze, i czekała tego nieominionego dnia i godziny, która uczucie i zawód w jednej ręce przynosi. Zbliżenie Aleksego i na niego wywarło wpływ zbawienny i Annę ożywiło trochę; lubiła z nim mówić, całe godziny zatrzymywała go nieraz podnosząc się nad zwykle przedmioty rozmowy do wielkich zagadnień życia, które się tak śmiesznymi wydają pospolitym ludziom, nawykłym do szyderstwa i lekkiego potrącania o najświętsze przedmioty; ale ich rozmowa nie tknęła nigdy

uczucia i nie ogrzała się jednym słówkiem, coby je zdradzić mogło.

Juljan tymczasem swobodniejszy, weselszy, z większą niż kiedy gwałtownością obrócił się ku Poli; ale nie mogąc uzyskać na to pobłażającego zezwolenia Aleksego, który miłość starał się mu wybić z głowy, zwierzać mu się zaprzestał i zamknął w sobie. Były chwile walki: Juljan mocno postanowił nigdy pierwszy jej nie powiedzieć wielkiej tajemnicy, ale ta mimowolnie przez oczy i słowa jego tryskała, a Pola z jakąś rozpaczą szła naprzód niepomna wcale jutra, byleby dziś do niej należało. Z każdym dniem stawiała się natarczywszą, nierozważniejszą; często z oczyma zaplakanemi przychodziła do salonu, dąsała się, smuciła, to znów trzpiotała gorączkowo, wyzywała Juljana, klóciła z nim i przepraszała go, prześladowała wymarzonemi kochankami, przeszłością i przyszłością, jakby zadaniem jej było przytomność mu odebrać. Juljan coraz się słabiej opierał, gorzał, szalał, ale się trzymał na stanowisku uczciwego człowieka, który czuje, że nie powinien z wyjątkowego położenia i szalu momentalnego korzystać...

Były dlań jednak chwile tak ciężkie, że walka jego z sobą prawdziwą miała zasługę, bo kochał ją codzień więcej i zapalczywiej. Anna w tem wszystkiem widziała tylko dzieciństwo, igraszkę, przyjaźń, zabawę: ale się nie domyślała namiętności, której siły pojąć nie mogła; była więc spokojną, a co gorzej, nieraz w dziecięcej niewinności swej pomagała Poli, i zamiast ich rozdzielać, zbliżała ku sobie. Każda chwila rozrywki Juljana była dla niej weselem i pociechą, bo kochała brata... a niebezpieczeństwa dlań w niewinności ducha nie domyślała się nawet.

Aleksy patrzył na to wszystko niespokojny, podrażniony, ale się przed jego okiem baczniej skrywano; nie tyle Pola, nie mająca dla nikogo tajemnic, szukająca chluby z uczucia, co Julian, trwożny by go od wrót raju surowy sąd nie odpędził. Nie uszło wzroku Aleksego, że co dzień bliżej z sobą, co dzień serdeczniej byli Pola i Karliński; długo myślał co począć, nareszcie raz w czasie przechadzki sam zostawszy z Polą, bo Anna pobiegła do Emila, a Juliana odwołano na chwilę do przybywającego gościa, postanowił szczerze pomówić z siostrą. Nie było nic łatwiejszego jak na ten przedmiot nakierować rozmowę, bo Pola wybuchała z uczuciem co chwila.

— Pan jesteś zimny jak opoka! — zawołała z uśmiechem, zaglądając mu w oczy... żal mi pana, bo się nigdy kochać nie będziesz...

— Mnie się zdaje, że pani-byś mi tego powinszować powinna!

— Jeśli ostygnięcie i chłód są szczęściem... A! wstydz się pan, tak młody, a taki chłodny...

Aleksy się uśmiechnął. — Nie tylko żem sam taki, ale wie pani, i jejbym pragnął udzielić tej zlodowaceniałości mojej.

— Znajdujesz pan, żem tak szalona?

— Szalona! nie! ale... ale...

— Ale... no, mów bo pan otwarcie, co myślisz o mnie.

— Że nikt tak na szczęście gorliwie nie pracuje, jak pani na lzy i bóleści...

Pola spojrziała, łzę miała już w oku, bo u niej uśmiech graniczył zawsze z płaczem.

— Zkąd to pan wiesz?

— Patrzę, choćbym widzieć nie chciał!

— I przywiduje się panu...

— Nie sądzę.

Pola rozśmiała się głośno i dziwnie.

— A! nie ma nic niebezpieczniejszego jak ci ludzie zimni, od natury upośledzeni, zazdrość im w oczach dwoi i powiększa przedmioty, sami kamieniem będąc krzyczą na cały świat, że się śmie z miejsca poruszyć! Pan życia nie rozumiesz!

— Inaczej go rozumiem niż pani.

— Nie ma wątpliwości; pan je sobie porządkie ścieszysz, pomalutku, ustawiasz, urządzasz i myślisz już o spoczynku na starość... o spokoju u ciepłego komina!... Fe! fe! ja wolę zjeść mój zapas w godzinie, upić się nim, a jutro... umrzeć wesoło z uśmiechem na ustach...

— A! bo pani nie wiesz jak ciężkie to brzemię do dźwigania, gdy skrzydła stracimy...

— A pan to zkad wiesz? nie z doświadczenia! Płatki starych gderów, którzy nie wiedzą co prawia... Zresztą co tam pana obchodzi moje jutro, my się niem nie podzielimy. Daj pokój, nie gderz i nie sprowadzaj mnie na ziemię... E! pan myślisz, że i ja bym panu jakiej maleńkiej nauczki dać nie mogła, gdybym chciała?

Spojrzała mu w oczy, Aleksy poczerwieniał, ale śmiałością nadrabiając zapytał żywo:

— Mnie, ja o nią proszę.

— Są rzeczy, które najgłębiej schowane, nie utają się... pewne uczucie jest jak piżmo... rozchodzi się woń jego w powietrzu...

— Uczucie? ze mnie? com zimny jak kamień... Śni się pani! rzekł Aleksy przybierając postawę obojętną.

— Sny bywają wieszczę...

— Co do mnie, dodał Drabicki, ja patrzę, boleję, obawiam się i z serca...

— Dziękuję panu, stanowczo odparła Pola — nie mi pan nie mów; nie rozumiem innego życia jak krótkie a pełne, namiętne, szalone. Żyć dwa dni czy sto lat, w chwili zgonu to jedno... trwanie życia nie jest życiem... każdy takie wybiera jakie woli. Wszystko cobyś mi pan mógł powiedzieć, mówiłam sobie i na ostatek przysłałam do wniosku... — nagle urwała i dodała: — że pan nie masz najmniejszego prawa wdawać się w moje gospodarstwo, nie dалаm panu pełnomocności.

Podawała mu rączkę białą, którą on uściśnął, spojrzała w oczy jakby mówiła: — Jam na wszystko przygotowana — i rzuciła się zbierać kwiatki, gdy Julian nadszedł. Widząc poruszenie, którego ślady znaczne były na twarzy Poli i Aleksego, nie wiedząc co znaczyć miały, biedny zazdrosny był jak wszyscy zakochani, i nie pierwszy to raz na myśl mu przyszło, że przyjaciel go zdradza. Spojrzał na Drabickiego, który ruszył ramionami tylko...

— Pójdźmy się przejść trochę, mam coś powiedzieć z tobą, rzekł gwałtownie do Aleksego...

— Chodźmy!

Pola rozśmiała się za nimi...

Ledwie kilka kroków odeszli, Karliński spytał:

— Coście mówili z Polą?

— O rzeczach obojętnych...

— Aleksey, nie oszukasz mnie; mów prawdę, ty się w niej kochasz?

Drabicki parsknął śmiechem tak serdecznym i szczerym, że Julian pomiarkował się i zawstydził.

— Naprzód, sto razy ci mówiłem, że nigdybym Poli

kochać nie mógł; mam dla niej przywiązanie brata, ale to ptaszę... to pisklątko nie dla mnie.

— Bluźnisz!

— Powtóre, słuchaj — żywiej dorzucił Drabicki, — od kiedy ci wolno mnie posadzić o zdradę, i jaki dałem ci powód do tego? Gdybym kochał Polę, pewniebym się z tem tak jak ty nie tail.

— A! daruj! szalony jestem, ale mi się zdaje, że ja cały świat kochać musi.

— Julianie, na Boga, jedź, uciekaj, rób co chcesz..., bo się źle skończy! ja ci przepowiadam...

— Nie lubię proroków! daj mi pokój! Nic się nie zaczęło i nie się nie skończy! mówmy o czem innem...

— Unikasz widocznie szczerego otworzenia się przedemną; to zły znak Julianie.

— Ty mnie nie rozumiesz.

— Od jak dawna?

— Daruj mi, nie wiem co mówię... ale mówić nie mogę więcej... kiedyś, później...

— Czemu-byś nie wyjechał?...

— Nie mogę... każda chwila mi droga...

— Nie słuchasz mnie...

Julian zamilkł, z cicha tylko szepnąwszy:

— Ty nie masz serca!

Aleksy westchnął i przerwał rozmowę, tak w milczeniu idąc połączyli się z towarzystwem, z Anną poważną i pogodną jak męczennica, z Polą zadumaną i rozplakaną, choć łzy polykała schylając się do kwiatów; razem wszyscy zwrócili się ku Emilowi, który leżał na słońcu i bawił się oglądając po małym krążku świata, jaki mu widzieć było dozwolono. Jak zwykle umilkli przy nim wszyscy... Emil był od niejakiego czasu zdro-

wszy i lekki rumieniec białą jego, ładną, ale promieniem myśli nie oświeconą twarz oblewał; zobaczywszy Aleksego, do którego przywykł i pokochał go nawet, przyciągnął go ku sobie śmiejąc się, porwał za rękę, sam spojrzal w chmury i tak zapatrzywszy się na nie, nie puszczał go jednak, niekiedy tylko zapewnając się wzrokiem, że jest przy nim. Anna usiadła obok niego... Pola postąpiła chwilę z Julianem, spojrzeli po sobie i powoli usunęli się o kilka kroków, cichą prowadząc rozmowę.

VIII.

Tak płynęło życie w Karlinie, pogodnie, cicho, szczęśliwie dla oczów obcego świata... ale pod tą lśniącą powierzchnią wód iskrzących się od słońca... ile czarnego kału i osadów zbierało się na dnie! Jedną tylko Anna była całkowicie panią siebie i spokojną... u reszty mieszkańców starego zamku uśmiech był tylko łez pokrywka.

Aleksy, który się do nich wszystkich przywiązał, potajemnie postanowił zająć się biednym Emilem, i wsząd począł zbierać wiadomości o wychowaniu głuchoniemych, zamierzając choć późno iskrę myśli dobyć z nieszczęśliwego dziecięcia, dotąd nazbyt osłabionego i podległego straszliwej chorobie, by się czem więcej prócz zdrowiem jego zajmować było można. Obawiając się, że wszystko to na niczem spełznąć może, nie odzywał się, nie obiecywał, tail, ale widząc co dzień polepszający stan Emila, i uzbroiwszy się w cierpliwość, odwagę i doświadczenie cudze, powoli jął się ze drżeniem do pracy. Naprzód oswoił z sobą i przyciągnął ku sobie młodego chłopaka, potem, w imię Boże, z biciem serca, dobiera-

jąc chwil, w których Anna na uczynku schwytać go nie mogła, jął się nauki... Nie w takich razach więcej nie kosztuje nad początek; później z pierwszego szczebla posuwa się już stopniowo dalej a dalej, ale punkt oparcia, pierwszy promyk, pierwsza idea, niesłuchanie się trudno otrzymuje. Emil był samowolny, zaniedbany, rozpieszczony i nieprzywykły do zastanawiania nad czemkolwiek, bawiono go tylko; umysł jego ociężał chorobą i zdrewniał bezczynnością; zmusić go do rozwagi, do skupienia się, zrazu wydawało niepodobieństwem. Ale się Aleksy nie zrażał; sto razy Emil wśród znaków, których nie pojmował, odwracał się do chmur, do obrazków, okazywał niecierpliwość, wzdragał... nauczyciel na pierwszą oznakę znużenia ustawał, ale nazajutrz powracał do nowego wykładu... Jak instynkt w tem dziecku niesłuchanie był rozwinięty, tak inne władze uspięte... potrzeba było szukać środka jakiegoś do wniknięcia w tę duszę zamkniętą. Aleksy długo się wahał, długo wskazywanych przez książki dróg próbował daremnie, znalazł wreszcie w ulubionych obrazkach Emila sposób porozumienia się z nim, i otwarcia mu świata... Błysnął promyk... Emil był uratowany...

Ale z jaką powolnością działać tu było potrzeba, ażeby nie wywołać znowu straszliwej choroby, którą wysilek umysłowy mógł sprowadzić!

Aleksy przychodził codzień razy kilka, zaczynał od zabawy, potem nieznacznie próbował nauki i rzucał ją i powracać do niej musiał, długo, nim petrafil zaszczyć w umyśle ociężałym, pierwszą ideę tego, ku czemu poprowadzić go pragnął. Jakim cudem się to stało, że Emil nie zraził się, nie obrzydził go sobie, owszem pokochał i przywiązał się do niego, nie wiem. Anna,

która nic o tem wszystkiem nie wiedziała, jak Julian, bo książki nawet posprowadzano starannie tań przed nimi Aleksy, dziwiła się tylko i tem większą czuła przyjaźń dla obcego przybysza, który tak umiał zaskarbić sobie serca wszystkich. Szczęściem dla Drabickiego, zdrowie Emila znacznie i nad spodziewanie się poprawiło; doktor Greber przypisywał to swojej metodzie leczenia i jakiemuś specyfikowi, ale w istocie łaska Boża, siły młodości, starania Aleksego czuwającego nad biednym głuchoniemym, sprawiły to bez leków Grebera, które najczęściej szły za okno.

Emil począł chodzić o swojej sile, napady słabości stały się coraz rzadsze, ustały wreszcie niemal całkowicie, i twarz nawet głuchoniemego nabrała nowego jakiegoś wyrazu. Myśl rozbudzona zaraz się wypiętnowała na oczach, w ustach i czole; uśmiech był inny, inne wejrzenie, ruch oznajmował wolę i jakąś pamięć na siebie. Anna cieszyła się, niewiedząc czemu to przypisać i pod obłoki wynosząc Grebera, nie postrzegła nawet ile była winna Aleksemu. Ten w ciszy pracował, i stary tylko sługa był niemy świadkiem ile trudu kosztowało go zdobycie na biednym Emilu pierwszej iskry pojęcia. Zdawało się nawet, że głuchoniemy jakby przeczuł czy zrozumiał życzenie Aleksego utajenia się z dziełem swoim do czasu, przed Anną nie wydawał się z tem wcale. Już pierwsze znaki wymieniali pomiędzy sobą, a Emil w obec brata i siostry nie powtórzył ich ani razu, czułym był tylko dla Aleksego i tęsknił za nim jak pieszczone zwierzątko domowe...

Prawie cudu dokazawszy, Drabicki nim się pocieszał wewnętrznie przy pracy niewdzięcznej, i uśmiech Anny

łagodny, poważny, niewinny, błysk oczów Emila witającego go wyciągniętymi rękoma, płacił mu za obojętność codzien większą Juliana, którego stara przyjaźń codzien się stawiała mniej wywnętrzającą, codzien chłodniejszą. Mimowolnie stosunek ich do siebie zmieniał się, a namiętna miłość dla Poli, której pobłażać nie mógł Aleksy, oddalała od niego Juliana, !codzien gwałtowniej rzucającego się w otchłań nierozwikłanej intrygi... Drabicki drżał patrząc, rzucał czasem słowo, ale skutecznie na to poradzić nie mógł.

IX.

Tak minęły jesień i zima, nadeszła wiosna zawsze nowa i wdzięczna i ten sam wpływ wywierająca na ucznia jakim ożywia niemą przyrodę i wszystko co żyje na ziemi. Rozwinęły się drzewa, zaśpiewali ptacy, otwarły serca i znówu jeden akt wiekuistego dramatu odegrywać się począł na scenie, przez którą już przeszły tysiące wiosen podobnych...

Nie widocznie nie zmieniło się w Karlinie, tylko Aleksy zbliżył się nieco do Anny, ośmielając otwierać jej z całą myślą swoją w tem nawet w czem ona dziełć jej nie mogła; tylko miłość Poli dla Juliana stała się ostrożniejszą i pokrywać zaczęła powierzchowną obojętnością, co zastraszyło Drabickiego; tylko Emil ożył z grobu wyprowadzony przyjazną dłońią człowieka, który mu wszystkie swe chwile wolne poświęcał.

Aleksy osmutniał, choć na swem stanowisku sumienie mu poświadczało, że wszystko spełnił do czego był obowiązany i co tylko mógł uczynić. Choć nie nie pragnąc, nieśmiejąc marzyć o niczem, codzien pojony

widzeniem Anny, codzień na wyższem stawiać ją pod-
nózu, codzień swój ideał większą opróżniając jasno-
ścią, uczuwał w sercu jakąś niemą, spokojną rozpacz
niewytłumaczoną... Nie mógł on omylić się na uczu-
ciach pięknej swej Beatrysy: przyjaźnie mu się uśmie-
chała, mówiła z nim jak z chłodną rozmawia się ksią-
żką, posługiwała się, dawała mu dowody przyjaźni i
wdzięczności, ale się nie domyślała nawet co się w jego
sercu działo — nadto stała wysoko... Aleksey też miał
ten pozór chłodnego człowieka, właściwy ludziom co naj-
żywiej czują, a cznie swe kryją jak ranę bolesną, by
jej obca nie tknęła ręka; można go rychlej było posą-
dzić o lodowatą obojętność na wszystko, niżeli męczar-
nie wewnętrzne, których nie nie zdradzało.

Jedna Pola czegoś się domyślała, coś przeczuła...

Pola zmieniła się była do niepoznania od niejkiego
czasu: osmutniała, zrobiła ostrożniejszą, na pozór uni-
kała Juliana; ale ten symptom nie zwiódł Aleksego,
który jasno widział postęp przywiązania i bolał nad
jego przyszłością. Chwilami jeszcze Pola powracała do
dawnego charakteru, ale nie naturalnie, przymusowo,
umyślnie, jakby grała komedję dla zbicia z tropu świad-
ków których się obawiała. Julian też zmienił się wiel-
ce, i nie umiał utaić z tem co go przeważnie opano-
wało... Schodzili się w salonie, ledwie na siebie spojrze-
wszy unikali się, potem pod jakim pretekstem, nie za-
wsze szczęśliwie wymyślonym, zbliżali i już ich oderwać
nie nie potrafiło.

Juljan przed Aleksem wdychał na zobojętnienie
Poli, ale Drabicki śmiał się z tego, co znowu gniewało
Karlińskiego. Postęp był codzień widoczniejszy dla
oczuw przyjaciela, choć Anna niczego jeszcze nie do-

strzegła, a tak dalece była niewinna, że ilekroć Pola Juljan zeszli się i utonęli w rozmowie cichej, ciesząc się dla brata z tej, jak ją zwała, rozrywki — przerywać jej nie dozwalała...

Jednego wiosennego wieczoru Aleksy z Anną chodzili po salonie, od którego drzwi były otwarte na ogród; Pola pierwsza się niemi wymknęła zamyślona i smutna, Julian krążył z początku po pokoju, słówkiem niekiedy mieszając się do rozmowy, potem niby pod pozorem zapalonego cygara, wysunął się na ganek. Aleksy widział jak się tam zeszli, dostrzegł szeptów i ścisnienia ręki, które mu wypowiedziały niespodzianie w jakim stopniu zbliżenia byli z sobą kochankowie, i po dosyć niezgrabnych pozorach domyślił się łatwo, że rozchodząc się w strony przeciwne, musieli gdzieś naznaczyć sobie schadzkę w ogrodzie. Pierwszy to raz jaśniej się przekonał, że Julian i Pola nie mieli już dla siebie tajemnic; niebezpieczeństwo obojga stało mu w oczach, los zwłaszcza nieszczęśliwej Poli ścisnął mu serce...

Anna nie domyślała się nic wcale, spokojnie rozmawiała z Aleksym, skarżąc się tylko przed nim na smutek Juliana, na zmianę jego charakteru. Aleksy przywykł już z nią mówić szczerze...

— Nie wątpisz pani, rzekł, o mojem przywiązaniu do Juliana, nie weźmiesz mi więc za złe gdy całą prawdę jej powiem... takie życie jakie on prowadzi, musi wydać owoc smutny: zwątpienie, zobojętnienie, znużenie... Julian nie ma celu zajęcia, nie wyrobił sobie jasnego pojęcia przyszłości, zbyt często się pieści i my go trochę zanadto pieścimy...

— Cóż pan chcesz żeby robił... ?

— Cokolwiek, byle się czem zajął... czemuby nie podróżował? — dodał.

— Tak! a jabym została samą! samą w tym i tak pustym Karliuie...

— Pani, nie wierzę temu słowu, które z ust jej słyszę... nie możesz się pani na swoją samotność uskarżać; pełna ona czynu, myśli i pracy. A gdyby przyszło i zatęsknić za Julianem, kiedy to dla niego konieczne?

— Konieczne? ale ja mu to już nieraz, od prezesa będąc nagłona, proponowałam; zawsze mi odpowiada, że nie cierpi podróży, że wyrrywając go z Karlina najoboleśniejszą wyrządzilibyśmy mu krzywdę... On nas tak kocha!

Drabicki nie śmiał powiedzieć całej prawdy; odezwał się tylko:

— Jak paui chce, żeby tego rodzaju chory sam dobrowolnie zgodził się na wzięcie lekarstwa? są słabości, a Juliana jest właśnie tego rodzaju, że inaczej jak przymusem i siłą ze zgubnego stanu wyprowadzić nie można... Julianowi brak woli, brak odwagi, trzeba by obca wola zastąpiła mu własną...

— Tego nie rozumiem... on nie dziecko... trudno go zmusić...

— Prezes, pani, moglibyście uprosić... przekonać; ręczę, że to jest środek jedyny; młodości potrzeba pokarmu koniecznie, jak ta stepów Tartarji bajeczna roślinina, zwana Barańcem, która dokola objadała co żyło, nim sama uschła brakiem pokarmu; młodość pozostawiona w miejscu, spożywa, niszczy co ją otacza, i gdy posilku zabraknie więdnie i kona... Zobaczyla byś pani, jakimby nam Julian powrócił! Tu zestarzeje zawczasie, przyrośnie do ziemi, do poduszek, do krzesła,

zgnuśnieję i uśnie. Nie myśl pani by zawsze dogadza-
nie instynktom chorego było zbawieniem dla jego przy-
szłości; czasem pragnie on trucizny...

Anna zamyśliła się głęboko.

— Ja tego dokonać nie potrafię, rzekła po cichu.
Prezesa użyć potrzeba, naradzić się, jeśli to konie-
czna... ale prezes wspominał mi o innem lekarstwie...

Zawahała się chwilę; lekki rumieniec twarz jej po-
krył.

— Cóż to takiego?

— Nie mały dla pana tajemnic — odpowiedziała...
znasz interesa nasze, stan ich znacznie się poprawił,
jednakże sam pan powiadasz, że dla swobody w przy-
szłości, należałoby parę wsi sprzedać... Prezes nie wi-
dzi na to innego sposobu nad bogate Juljana ożenienie...
on utrzymuje, że żeniąc go, wprowadząc w nowe życie i
obowiązki...

— Gdyby to była podobna...—rzekł Aleksy... gdyby..

Ale całej swej myśli powiedzieć nie mógł, Anna go
nagliła.

— No? gdyby! kończ pan, proszę...

— Tu pojęcia nasze, moje i prezesa, a może moje i
pani, wiele się różnią, nie zrozumielibyśmy się podo-
bno... Państwo przywykliście wszystko zasadzać na
stanie majątkowym, godności imienia; niezawisłość,
znaczenie, szczęście, czynicie zależnemi od bogactwa...
Prezes gotówby ożenić Juljana nawet przeciw sercu
jego, było bardzo świetne i bogato... Na to ja się nie
godzę...

— Pan... świat zawsze jakiś idealny masz przed oczy-
ma; prezes przywykł patrzeć na rzeczywisty...

— Ale może być co rzeczywistszego — spytał Ale-

ksy, nad miłość lub wstręt? a choćby obojętność, która wyradza znużenie i Bóg wie jak gwałtowne pragnienia?

— Jak tylko ten ktoś, kogo Juljanowi przeznacza prezes, jest młody, piękny, dobrze wychowany... dla czegożby nie miał mu się podobać? dla czegożby się pokochać nie mieli i nie byli szczęśliwi?..

Aleksy się uśmiecchnął...

— Dla czego! a! to właśnie wielka tajemnica świata, rzekł z duszy — dla czego z pośrodku tłumów jedna istota ku sobie nas pociąga, druga w całym blasku piękności odpycha lub na wieki pozostaje obojętną? Dla czego jedną z tysięcy wybiera pierwsze wejrzenie, jeden rzut oka? dla czego tęsknim za nią z przeczuciem, choć jej nie znamy, a zobaczywszy, przywiązujemy się na wieki?...

— Tej tajemnicy, odpowiedziała Anna — nie tylko nie rozwiąże, ale zdaje mi się, że jest urojona... do każdego można się przywiązać...

— Tak, po chrześcijańsku i bratersku, rzekł Aleksy.

— I to dosyć... zawołała Anna; namiętnych tych i tak wyłącznych przywiązań, przyzuam się nie pojmuję, mam je za obłąd i szal występny... człowiek się tak nie powinien wiązać sercem do ziemi!

— Nie powinien; ale jeśli siła, co go pociąga, mocniejszą jest nad wszystko, jeśli w nim zaciera pamięć, rozagę, rachubę, jeśli mu odbiera przytomność? jeśli go opanowują...

— Powinien walczyć... — odpowiedziała... choć, dodała po chwili — ja tego nie rozumiem i pojąć nie mogę.

— Pani tego nie pojmiesz nigdy! — rzekł smutnie

młody człowiek,— stoisz za nadto wysoko, nad ziemią, byś cokolwiek ziemskiego zapragnąć mogła... nie powiem, żebym to w pani pochwalał... wielkość jej przstrasza mnie!

Anna się rozśmiała i spuściła oczy...

— Cóżem temu winna, że w to nie wierzę i nie pojmuję tego?

— Ale możnaż zaprzeczać prawdziwie tego uczucia, którego się nie doznaje? nie możeż ono istnieć dla drugich, choć nie egzystuje dla pani?...

— Żal mi tych ludzi!

— Nie żałuj ich pani tak bardzo... wszystko na świecie tak jest opatrzenie urządzone, że męczarnie stoją obok uniesień i roskoszy dusznych, że im większa ofiara, tem zdobycz obfitsza... Za boleści serca płaci serce, za namiętności chwila szalu, za chwilę szczęścia cierpienie...

— Słucham o tem jak o królewnie zaklętej, zawołała Anna.— Ale patrz pan już dziesiąta, a myśmy się tak zagadali... Poli cały dzień głowa bolała, poszła pewnie do swego pokoju. Julian czegoś smutny, musiał także pójść do swoich książek... dobranoc...

I Anna wymknęła się i znikła, a Aleksy sam pozostał z wrażeniem rozmowy, która odbiła się przykro w głębi jego serca... Machinalnie wyszedł przez drzwi otwarte do ogrodu... wieczór był cudny, a księżyc dodawał mu jeszcze wdzięku...

— Byłażby miłość istotnie występkiem? — mówił w dalszy, byłażby szalem czysto cielesnym? nie maszże w niej przecucia innego bytu, zjednoczenia wszystkich istot w nieśmiertelnej całości u tronu Bożego? Byliżbyśmy winni, wynosząc jedną istotę na tron, i w niej

upatrując odbłask doskonałości, której pragniemy? Na tożby tylko dano nam było to uczucie udoskonalające, podnoszące, oczyszczające, żebyśmy z niem walcząc, wyrabiali w sobie siły? Jest-że fałszem wszelka miłość, jest-li złudzeniem i popędem materialnym, przebrany w szaty i skrzydła anioła...? Nie! nie! Ale dla czegoż są istoty, co kochają świat cały, a nie pojmują, że kochać można jedną nad wszystko, i wszystko w jednej. Dla czegoż Bóg w serce Anny nie wlał świętego ognia, a może... może on tam czeka nie rozbudzony, jednego wejrzenia, co go ma rozpałić!

Tak myśląc z cicha, powoli szedł Aleksy ciemną ulicą i stanął nagle nie wiedząc co począć z sobą, gdy go doszły słowa rozmowy, usłyszane niespodziane o dwa kroki. Opamiętał się, spojrzał... księżyc jakby kroplami srebrnymi, wpadał pomiędzy liście altany gęstej, w której siedzieli Julian i Pola, zapomniawszy o całym świecie... Przytuleni do siebie, w uścisku namiętnym, z twarzami zwróconemi ku sobie, składali grupę wdzięczną, przypominającą Francesco Danta...

Znikł z oczów ich świat, ludzie, obawy, jutro, wszystko, na co się człowiek zimny ogląda... wyrazy ich jak spojrzenia mieszały się, zlewały, obejmowały, jednoczyły; na twarzy Poli jaśniała, gorzała namiętność niepołamowana; szczęśliwa i rozmarzona, wyegzaltowana, podnosiła głos i błyskiem oczu oświecała zda się ciemną ustron, w której sie zeszli, wiedzeni szaleń, którego dłużej powstrzymać nie mogli... w uśmiechu jej były łązy rokoszy... Julian bardziej milezący, ale zarówno opanowany, drżał jak liść, tracąc przytomność, omdlewając prawie zbytkiem swojego szczęścia... Ona płonęła życiem, ten konać się zdawał i umierać...

— Julku mój — srebrnym głosem wołała Pola... a! długo, długo czekałam na tę chwilę... teraz już mogę umrzeć, nie chcę więcej... Powiedz mi, że mnie kochasz... powtórz sto razy! być że to może? Ty mnie! ty! anioł, czysta, niebieska istota, ideał... mnie biedną, zlaną gorączką lat tylu, upadłą namiętnością, rzucającą ci się na szyję jak szalona... Ty mną nie gardzisz... ty mnie nie odpychasz...?

— Ja... cię kocham... Polo! Polo! a! jak kocham! a! com wycierpiał... ilem walczył!

— Musiałeś się opierać? myślałeś że mi się oprzeć potrafisz? ja cię ciągnęłam... o! siłą woła tej miłości byłabym z grobu wyrwała umarłego! Ty nie wiesz com ja wycierpieć musiała... wstyd, pamięć przyszłości, wdzięczność... wszystko stłumiłam w sobie... a ile łez polknęłam... a ile razy chciałam umrzeć, sądząc, że nigdy nie wywiodę cię z tego odretwienia!...

— Musiałem walczyć, ale czyż ci oczy moje nie powiedziały co czulem...

— Oczy! oczów mi było za mało; usta! ust nie dosyć... ja szaleję! on mnie kocha... A! gdybym dziś umrzeć mogła, ot tak w uścisku twoim... Zabij mnie! a! zabij mnie... dasz mi szczęście... Jutro powstaje przedemną groźne, boję się wszystkiego, ludzi, ciebie jej... świata... nieszczęścia... siebie samej... a dziś dostąpiłam szeptu pragnień, mam ciebie — i tak słodkoby umrzeć było.

— Polo! będziemy żyć!

— Tak! mówisz to i kłamiesz Julku, ty wiesz dobrze, że z sobą żyć nie możemy... ale na co truć dzisiaj temi myślami, które zawsze za prędko wuijdą... Dziś tylko moje!

I objęła go za szyję i zjadała pocałunkami... Julian umilkł i zdawał się na pół zemdłony... Aleksemu włosy powstały na głowie... cofnąć się nie mógł, pozostać nie chciał; scena ta przerażała go gwałtownością — jak wkruty stał słupem przy nich, a oni go nie widzieli...

— Polo! wracajmy! zobacz... domyślą się...

— Niech widzą, niech się domyślają, niech cały świat wie żeś twoją... ja się tem chlubię, ja chcę tego! co mi tam oni wszyscy... jam dziś królowa... bo mam serce twoje...

Z takich bezładnie z ust ich wyrrywających się wyrazów, składała się ta szalona rozmowa, w której słowa były niepotrzebnym i zbytecznym dodatkiem... Aleksey opamiętawszy się trochę, cofnął kilkanaście kroków pocichu, i zaczawszy świstać głośno, z balasem zbliżył się do altany, dając czas Poli do ucieczki... Sądził on, że niebezpieczną tę schadzke przybycie jego rozerwie, że dziewczę pierzchnie, a Julian pozostanie, udając, że wraca z przechadzki... ale się omylił, bo przyszedłszy do altany, znalazł tylko chustkę białą leżącą na ziemi, a kochanków ani śladu... W ciemnej ulicy mignęli mu się jak dwa cienie i znikli... nie ich rozerwać nie mogło... Aleksey poszedł dalej, podjawszy chustkę, którą schował, i mmyślnie śledził uciekających, aby ich zmusić do rozstania; schwytać ich wszakże nie potrafił... Pola porwała Juliana i uniosła z sobą w cieniste głębie ogrodu.

Po pół-godzinnych nadaremnych poszukiwaniach, oburzony na Karlińskiego, Aleksey poszedł wprost do jego pokoju, postanowiwszy czekać tam i nie oszczędzać mu gorzkiej prawdy... wyrzucał sobie nawet, że tego wprzód

nie uczynił... że go nie zmusił do wyznania i szukania rady w przyjacielu, rady dziś może mającej przyjść za późno.

Zdziwił się, zastawszy go już w fotelu z cygarem w ustach, na pozór znużonego i chłodnego, z książką w rękę dla niepoznaki. Na twarzy jednak Juljana widne jeszcze były ślady sceny w ogrodzie: pomieszanie, szal, zniecierpliwienie zarazem; z pod oka poglądał na Aleksę, badając go czy ich widział, czy wie o czem lub nie...

Drabicki obejrzawszy wprzód, że ich nikt podsłuchać nie może, stanął przed nim jak surowy sędzia, wyjął chustkę, którą miał na piersiach i rzucił ją Julianowi, jako znak widomy schadzki, której był świadkiem.

— Znalazłem to w altanie, rzekł, gdzieście z Polą tak szaloną odegrali scenę; mimowolnie byłem waszym powiernikiem, bom zszedł was zadumany... ale widzieć, że los opatrzny chciał tego...

Juljan zadrżał i zapłonął gniewem, którym miał wybuchnąć.

— Nie nastraszysz mnie gniewem swoim, przerwał mu, nim słowo wyrzekł, Aleksy — ja też nie przyszedłem z wymówkami, ale z politowaniem: Julianie, na Boga, co myślisz i co robisz, opamiętaj się...! Nie wierzysz przyjaźni i sercu memu, wybaczam; wezwij własnego instynktu i rozwagi!

Juljan zadrżał rozbrojony, rzucił mu się na szyję...

— Ja wiem! zawołał — ja wiem i czuję, że za daleko zaszedłem, ale to nad siły moje... oprzeć się nie mogłem... nie umiałem... Pola pociągnęła mnie... ratuj... radź!... drogi Aleksy, bądź przyjacielem nie sędzią.

— Nadto człowiekiem jestem i zbyt słabym, rzekł

Aleksy, ażebyś się po mnie mógł spodziewać nielitościwych jakichś wyrzutów; nie z czezą wymówką, ale z dłonią do powstrzymania cię gotową przyszedłem...

Juljan oczy zakrył dłonią.

— Teraz powtarzam ci, zawołał Drabicki, albo stanowczo powiedz sobie, że się z nią ożenisz, albo uciekaj natychmiast... Mojem zdaniem, nie zważając na przesady i nierówności wymyślone, powiedziałbym ci: idź śmiało do ołtarza, nie lękaj się pracy i ubóstwa, podziel z nią życie, jak podzieliłeś serce... jeśli na to nie masz odwagi, uciekaj jutro, natychmiast... w tej chwili...

— Już za późno! rzekł złamanym głosem Karliński...

— Wiesz więc co masz począć — odezwał się Aleksy — rada moja byłaby obelgą... jedną tylko masz drogę nieczciwą.

— Zrobię com powinien, nie wątpij, odpowiedział Juljan... ona mnie kocha... ja szaleję za nią, nie nas nie rozłączy; ale na Boga proszę cię o tajemnicę; muszę przygotować stryja, Annę, muszę sam się uzbroić w męstwo, bo wiem, że spotkam zawady straszne... Milecz... zaklinam cię i daj mi czas...

— Rób jak chcesz, rzekł Aleksy siadając, ale nie sądz, ażeby zwłoka dała ci siły... Obawiasz się wybuchu: tego nie unikniesz, to napróżno, dziś czy jutro, jednakie będzie.

— Muszę zebrać myśli, osnąć plan... zaklinam cię, zachowaj mi milczenie...

— Bądź o to spokojny... nigdy nie zdradził nikogo; nie domyśli się nikt, że mnie przypadek zrobił panem waszej tajemnicy; będę milczał... zamknę oczy, bo jeszcze wierzę w ciebie...

Chwilę trwała rozmowa, a Aleksy wyszedł z polito-

waniem nad Julianem, przewidując, że przyszłość ciężkie dla niego próby gotuje, którym siły nie będzie miał podolać. Smutny, zwrócił się do swojej izdebki i widokiem może tej miłosnej schadzki rozmarzony, mimowolnie zapłakał nad sobą... Jakaś niepocziwa zazdrość zrodziła się w sercu jego... wydziedziczony, wymawiał niebu to szczęście, które innym spadało same, a dla niego nigdy, nigdy żadnem zaklęciem wywołane być nie mogło. Ale ten smutek czysty, kto wie czy nie większą był roskoszą od upojenia Juliana, którego myśl i serce wzburzone, z groźną się już pasowały przyszłością. W boleści Aleksego był jakiś spokój, w roskoszy Karlińskiego tkwiły zarody cierpień przechodzących jego siły; miotał się uciśniony szczęściem, pochwycony wirami, nad którym nie panował; spodziewał się i obawiał, pragnął i drżał, myśl sięgała po za uczucie i mierzyła już czarne przepaście... Namietność trwała zbyt długo, wybuchnęła zbyt gwałtownie, by się w biegu jakkolwiek rozważyć powstrzymać dała i skierować...

X.

Gdy się nazajutrz zeszli rano, o białym dniu, Aleksey nie śmiał spojrzeć na Polę; obawiał się by wzrok nie wydał go, i nie zaplonił biednego dziewczęcia; ale miłość sieroty tak była gwałtowna i szczerą, że się nie rumieniła; w prostocie swej chciała się chlubić zwycięstwem. Pola wiedziała, że Aleksey zszedł ich i był świadkiem schadzki, ale to ją nie zmieszało bynajmniej, rachowała na Drabickiego uczciwość, a tajemnicy nie pojmowała nawet. Spojrzenie jej śmiało wypowiedziało mu wszystko...; musiał się zmięszać, gdy go zuchwale

zagadnęła sama:

— Jak pan późno przechadzasz się po ogrodzie? widziałam zamykając moje okno, gdyś pan powracał po jedenastej... Prawda, że noc była prześliczna!

Aleksy zarumienił się, nie wiedząc co odpowiedzieć; Julian zdziwiony, musiał się odwrócić by ukryć przestach, jaki go ogarnął. Pola była w humorze szalonym, wesola, trzpiotowata jak za dobrych czasów; śmiała się i usadzała by prześladować Aleksa, który nie mógł się jej odcinać. Julian cierpiał na tej nadzwyczajnej wesołości, której podzielać nie umiał; Anna się nią cieszyła i obca wśród nich, z niewiunością anielską mieszała się do rozmowy, połowy jej znaczenia pochwycić nie mogąc..

Tkwiała jej jeszcze w myśli wczorajsza narada z Drabikiem, chciała wyrozumieć Juliana i powoli odciągnęła go z sobą; Pola została sam na sam z Aleksym...

W pierwszej chwili patrząc mu śmiało w oczy, podeszła ku niemu, i podała dłoń drżącą...

— Nie gniewasz się pan na mnie? spytała.

— Ja? za co...?

— Strasznie pana prześladowę... — Śmiech na ustach, łąza zakręciła się w jej oku. — Biedny pan jesteś! a jam tak szczęśliwa... a! pan wiesz wszystko!

— Ja? ja nie wiem.

— Kocham pana jak brata... ale milcz!

— Doprawdy, to są zagadki...

— Pan mnie masz za dziecko... ja widziałam pana wczoraj, nie mogłeś nas nie widzieć...

Aleksy zmięszał się.

— Ja się nie wstydzę, zawołała dumnie... ja go kocham, i życie gotowam dać za niego... Co mi świat! co

mi ludzie!!

— Zastanowiłaś się kiedy pani nad przyszłością?

— Nie! i nie chcę się nad nią zastanawiać... dla mnie jej nie ma i nie będzie... poszaleję, rozśmieję się, zapłaczę... i umrę... szczęśliwa...

Aleksy westchnął.

— O błogosławiona nieopatrzna młodości! jakie ty wyrabiasz cuda... Nie już pani nie powiem więcej... Jestże słowo któremby dziś trafić można do przekonania?...

— Wy, wszyscyście prawie zimni rachmistrze — żywo odparła Pola... całe życie żyjecie w jutrze i dlatego nie macie terażniejszości... Jak wam nie wstyd! jak wam nie żal! Jutro! alboż ono do mnie należy? kto je kiedy wyprosił, wymodlił lub wyrachował? Sto razy omyleni, setny pierwszy raz poczynacie zadanie i tak do śmierci... Ja używam i nastawiam czoło groźbie przyszłości... Cierpieć? alboż się nie cierpi wśród szczęścia? umrzeć? alboż się wśród szczęścia nie umiera?... Mali jesteście!... karły! dzieci! starcowie, ale nie mężczyźni i nie ludzie!

— Wszystko to dobrze, rzekł Aleksy — ale gdy nie o uasze, a o cudze jutro idzie, zdaje mi się, że trochę rachunku nie byłoby zbytecznem?

— Cudze? moje i jego to jedno — odparła Pola zapominając się — nas dwoje to istota jedna, pełna i cała... możemyż nie mieć co wspólnego?... zawsze zawczasu przyjdą chłody, obawy, lzy i rozpamiętywania; nie psuj nam szczęścia panie Aleksy... — A zresztą, dodała figlarnie, ja pana mam także w rękę!

— Pani! mnie!

— Oho! ho! więcej niż pan myślisz!

Aleksy się rozśmiał, ale poczerwieniał.

— Jeśli mi w czem przeszkodzisz, jeśli mi co popsujesz, staniesz na drodze... Pan mnie nie znasz, jam się straszliwie zemścić gotowa! jestem egoistka, bo mój egoizm szczęściem dwojga... nie ulękę się niczego, spotwarze... zrobię plotkę... domyszę się, odgadnę, skłamię zresztą jeśli będzie potrzeba...

— Co pani takiego! zapytał chłodno Drabicki.

— Nic, mam trochę gorączki... przypuścimy...

— Niebezpiecznej...

— Ale w tej gorączce widzę niebo! Daj mi pan pokój... nie chcę zdrowia... i nie wezmę pana za doktora, to pewno...

To mówiąc odwróciła się, a Aleksy stanął zdumiony i smutny rozwiązaniem tak nagle i niespodzianem miłości, którą spodziewał się pohamować i rozerwać. Dziś już było po czasie. Julian szalał, a Pola śpiwając szła na męczeństwo, nie licząc ofiar, nie bojąc się wstydu, bo kochała całą zapamiętałą miłością świeżą pierwszej młodości, duszy dziewiczej i ognistego temperamentu...

Zdała, już nie mieszając się do niczego, ze smutkiem spoglądał na to Aleksy, dziwiąc się, że nikt prócz niego nie poznał się na zmianach, jakim uległy stosunki Poli i Juliana.

Anna szczególnie ślepa była, cieszyły ją zmiany, które powinny były zastraszać; Pola stała się dziwną, fantastyczną, i nie kryła się wcale ani z gwałtownem swem przywiązaniem, ani z prawami, jakie miała nad Karlińskim. Niekiedy rozkazywała posłusznemu jak pani, to znowu z najblachszych powodów kaprysząc przejmowała się zazdrością i wybuchami gniewu niepohamowanymi, i robiła sceny; nie gadała po całych dniach,

chorowała, rozpaczala, a gdy po cichu zgodę zawarto, szalala tak samo z miłości, rzucała się prawie do nóg, przepraszała, ofiarowała życie... Co dzień prawie obledowała się łzami, nakarmiała rozpaczą i upajała szczęściem. Julian jakkolwiek kochał ją gwałtownie, z ciężkością znosił tę dręczącą miłość, która w spokoju, wierze i ufności wyżyć nie mogła, którą podsycać było potrzeba ustawicznie wybuchami namiętności, która podejrzывała wszystkich i wszystko, widziała groźby zubożenia w najmniej znaczących ruchach i miotala się gorączkowo... Napróżne były przysięgi, dowody uczucia, przyrzeczenia, ofiary, łzy i uściski gorące: ledwie uspokojona burza rozpoczynała się na nowo z najbliższej chmurki, i z najmniejszego wyiewu... Karliński dręczył się i upadał pod brzemieniem tego przywiązania dzikiego, szalonego, któremu wystarczyć nie mógł, którego ukolysać nie umiał. Prawda, że i ono nie szczędziło mu ofiar i gotowemu było na wszystko, ale wszystko też oddać mu było trzeba, by je zaspokoić.

Anna nie jeszcze w tem nie dostrzegła, prócz dziecinnej jakiejś zabawki, Aleksy unikał wnięszania się, gdy i tak Pola często najniesłuszniej go o jakieś posadzając wpływy, ciężkie mu robila wyrzuty i karala milczeniem, groźbami, przycinkami... i szło to dalej a dalej.

Tymczasem Emil zmartwychpowstawał... myśl powoli jak w dziecku rozpowijać się zaczynała i zamknięta w czaszce, wyszła w świat przez zdumione oczy... pojmował, pytał, odpowiadał, uczył się... wszystko to nabył dzięki staraniom Aleksego, a choć skutek jego pracy coraz był widoczniejszy, jeszcze uczeń nie wydał się zupełnie ani przed siostrą, ani przed bratem; jeden stary sluga coś się domyślał i śmiejąc się, dochowywał

tajemnicy, z której sobie obiecywał radość całej rodziny...

Postępy były coraz żywsze, rozmawiał już z Aleksym, a choć pytania jego maluczkie jeszcze zapowiadały rozwinięcie, wszakże myśl tlała, iskierka żyła, podłożyć tylko trzeba było i rozdmuchać święty ogień w duszy... Jednego poranku, Aleksy wedle zwyczaju przyszedł do Emila, gdy w zamku spali jeszcze; uczeń przywitał go uściskiem łzawym, i zasiedli nad przyniesioną książką, której czytanie dopełniał nauczyciel mową ze znaków złożoną, tym dobroczynnym wynalazkiem litościwego serca, które dla wydziedziczonych z dźwięków zastępuje żywe słowo. Oba tak byli zajęci, że się ani spostrzegli, jak Anna, która dnia tego wstała wcześniej niż zwykle, i otwartem oknem zwabiona do Emila weszła po cichu do pokoju, zastała ich nad tem tajemniczem zajęciem. Na widok ten, zrazu zdumiewający i niespodziany, osłupiała, stanęła wryta i serce jej uderzyło wdzięcznością, ręce się jak do modlitwy złożyły, łza wytrysła na powiece... Zgadła, że to co dziś widziała, było już skutkiem, owocem ukrytych przed nią długich i mozolnych trudów; zmierzyla sercem co Drabicki uczynił dla nich i rzuciła się ku niemu przejęta, szczęśliwa, chwytając go za rękę z uczuciem wdzięczności.

Słowa nie umiała powiedzieć, wszelkie dzięki byłyby próżne i słabe, spojrziała nań pięknemi swemi czarnemi oczyma; Aleksy stanął jak winowajca przed nią, zmieszany i poruszony do głębi... rzuciła się potem do Emila i rozplakała, widząc, że mu się nie da zrozumieć, że nie zna jego języka.

Emil wskazał na Aleksego, ręce wyciągając ku niemu.

— A! jam się nic nie domyślała, zawołała Anna — mam sobie do wyrzucenia; nie odgadłam nic, nie przeczułam, żeś pan miał być dobroczyńcą naszym... żeś miał oddać nam brata... Lecz na co ta tajemnica!

— Obawiałem się dać i odebrać nadzieję, chciałem wprzód być pewnym... rzekł Aleksy...

— I Emil potrafił przed nami zachować tajemnicę?

— Emil ma dziwny instynkt... i serce anielskie; zrozumiał mnie, był mi posłusznym.

Annie na łzy się zbierało; już jej mało było własnego szczęścia, chciała się z niem co najprędzej podzielić; posłała po Juljana, po Polę, chciała zwabić dom cały, nie umiała słów znaleźć dla Aleksego... Julian przybiegł przestraszony i stanął zdumiały, rzucił się na szyję Drabickiemu w milczeniu, ale wejście Poli, której wzrok przeszył go na wstępie, odwróciło serce jego od brata... Pola uściśnęła rękę Aleksemu.

— Dla mnie to nie było tajemnicą, zawołała uśmiechając się, wiedziałam o wszystkim! Pan jesteś jedynym z tych ludzi wybranych, którzy błogosławieństwo wprowadzają pod dach w dom, który ich okrywa.

— Potrzeba dać znać prezesowi! prezes nic nie wie... matce! nauprzed matce... a! co to będzie za szczęście, ileśmy mu winni wdzięczności!...

W czasie tej sceny, Emil, który mały w niej miał udział, oczyma latał po wszystkich, zgadywał wrażenia, spoglądał na Aleksego i czule dłoń jego do piersi przyciskał, uśmiechał się...

— Na Boga! ucz-że pan nas wszystkich, żebyśmy z nim mówić mogli! będziemy panu pomocą — mówiła Anna.

Milość jest pełną egoizmu, trzeba jej to wybaczyć,

ziemska inną być nie może; po chwili Juljan zajął się Polą, Pola przybliżyła się do Juliana i zapomnieli o bracie, o Aleksym... szepcząc niedokończoną wczoraj wieczorem rozmowę, którą chmurka i deszcz w ogrodzie przerwały... Anna modliła się w duchu, Aleksy wymknął z duszą pełną radości i spokoju, jaki daje spełnienie wielkiego i świętego obowiązku... czuł, że miał zasługę, i że za przyjaźń Karlińskich wypłacił się oddając im zgubionego brata...

Anna, jak tylko zniknął, zbliżyła się żywo do Juliana.

— A! prawda, sto razy miałeś słuszność wymawiając mi, że nie znam Aleksego! co za człowiek, jakie serce, ile delikatności i charakteru... jak my się mu potrafimy odwdziżyć...

W Julianie jakoś może mimowolnie pan się odezwał.

— Potrzeba pomyśleć i zrobić coś dla niego... ubogi...

— Bracie! zawołała Anna... takie rzeczy się nie płacą...

Pola rzuciła nań także okiem zagniewanem prawie; Juljan się zapłonił.

— Nie zrozumieliście mnie, rzekł zmieszany — nie to chciałem powiedzieć...

— Zapłacim mu przyjaźnią serdeczną, staraniem, opieką, i temi względy, na jakie zasłużył.

Pola uśmiechnęła się figlarnie.

— Jacy to z was panowie, odezwała się z wymówką gorzką — zaraz chcielibyście zapłacić, żeby się z ubogim skwitować i nic mu nie być winnymi! Nie obawiajcie się! Aleksemu zapłaci serce własne, uczucie jego dla was, na którym doprawdy chybaście się nie poznali... Sądźcie go surowo! nielitościwie. Ja lepiej znam go od was wszystkich, obrazilibyście śmiertelnie biednego

człowieka, mówiąc mu o waszej wdzięczności; podnieście go ku sobie, jeśli się wam zdaje niższym jeszcze nawet po tem poświęceniu; uznajcie go za brata... oto najwyższa nagroda jaką mu dać możecie.

— Albożemy go kiedy inaczej uważali? spytała Anna...

— Pozwólcie mnie i jemu sądzić! szepnęła spoglądając na Juljana sierota... i nie mówmy o tem...

XI.

Aleksy, właśnie unikając podziękowań i chcąc zejść z oczów, siadł na konia i do matki do Żerbów poleciał... Bywał on tam dosyć często, niekiedy jednak po parę tygodni praca i podróże nie dozwalały odwiedzić starej Drabickiej; lecz gdy go serce bolało, gdy tęsknota opanowywała go wśród tej drogi długiej, smutnej i samotnej, instynktem ciągnął ku słomianej swojej strzesze, i choć zawsze surową dlań i niepobłażającą była matka, czuł w niej, u braci jakieś współczucie, którego w Karlinie nie znajdował, które tu zastępowała grzeczność zina, troskliwa, ale nie braterska, nie macierzyńska.

Juljan co dzień dlań bardziej obcym i chłodniejszym się stawał: miłość, która go opanowała, czyniła obojętnym na wszystko.

Aleksy potrzebował odetchnąć powietrzem swojej wioski, zajrzeć do pokoiku, który dziś Jan zajmował, poskarżyć się przed matką trochę, choć przed nią krył boleść swą serdeczną i tęsknotę, a raczej przyczyny ich tajemne.

Gdy się ukazał w dziedzińcu, stary Kurta, który przez roztargnienie zaszczeakał, poszedł pierwszy prze-

ciwko niemu, machając ogonem pomimo ociężałość, wyskakując dosyć niezręcznie, żeby mu okazać, jak rad był gościowi serdecznie, jak żałował, że go zrazu nie poznał. Wybiegł Parfen ze stajenki, Jaś znalazł się na ganku, a nareszcie i pani Drabicka z pończochą wyszła przeciwko ukochanemu, za którym tęskniła u okna dniami całemi.

Trzeba było widzieć jakim go objęła wzrokiem, czytając z ubioru, z twarzy, z miny, z najmniejszej drobnotki, co się tam z nim działo, co go przypędziło do domu. Nie śmiała się spodziewać, żeby powrócił na zawsze, a tak się po cichu modliła o to... Aleksy był świeżej i wykwintniej niż dawniej ubrany, konia miał ładnego, siodelko angielskie, sam wyglądał na paniczka... Jaś trochę mu zazdrościł, a trochę się podśmiewał z niego. W milczeniu uścisnęła go pani Drabicka, dała się mu przywitać z Jasiem i rękę wyciągnąć do śmiejącego Parfena, któremu oczy z radości, że panicza zobaczył, błyszczały; — i posadziła go przy sobie na ławce, znowu niespokojnym obejmując wzrokiem.

— Coś ty mi nie ciekawie wyglądasz, odezwała się po chwili — wyszedłeś na paniczka... ubrany jak lalka, ale na twarzy zawsze u waści czy wczoraj czy jutro... postarzałeś na tych pańskich marcypanach... no! jakże ci tam, mów, a dużo, a długo, a obszernie... wszak to dwa czy trzy tygodnie u nas nie byłeś?... Dobrze ci? niechże się choć pocieszę...

— Ale, dobrze, doskonale, odparł Aleksy — jak matunia widzi, nic nie braknie...

— Nic? spytała kładąc mu rękę na dłoni — nic?

Aleksy oczy spuścił.

— Zawsze, rzekł — człowiekowi czegoś braknąć musi,

i nie byłoby żyć po co, gdyby się najadł do syta...
A! jakże u was, gospodarstwo? Jaś? ty matko?

— U nas! zachciałeś! gospodarstwo! kłopotarstwo!
Jaś złoty chłopiec, pracuje i tego mu dosyć... tylko nam
tęskno po tobie, patrzym oboje z nim na ten zamek co
nam ciebie ukradł, i często nic nie mówiąc popłaczemy
się! Czego bo ci się zachciało!

— Oni tak dla mnie są dobrzy!

— Czemuż nie! dobrzy dla wszystkich! wierzę, szacu-
ję ich, ale nie uwodź się Aleksy, ta dobroć jest chle-
bem powszednim, którym obdzielają wszystkie służ-
by swoje, a i ty liczysz się do nich... Dałż ci kiedyś
uczuć, żeś tylko sługą w ich oczach... daj Boże, by nie
rychło, by nie gorzko! — Nigdy się z nimi nikt jeszcze
nie zbracił... Nawet ci, co długo wzdychając dostąpili
tego szczęścia, że im jaką kulawą siostrzyczkę rzucono
na łup ich dumy... nawet ci, co mają prawo nazywać
się ich krewnymi, są dla nich wstydem, kalectwem, a
nie rodziną...

— Wiem, że mi dotąd nigdy uczuć tego nie dano...

— Widać, że masz rozum i na to się nie narażasz!
Rób co ci się zda, ale co prędzej to lepiej cofnij się,
mój Aleksy... Pamiętasz jakęś mi opowiadał kiedyś o
tym Niemcu, co to woził lwy i tygrysy... co to je bił
i rozkazywał im, póki niespodzianie raz posłuszne zwie-
rzę nie rozdarło nieostrożnego przyjaciela... ja zawsze
odtąd w tych Karlińskich twoich obawiam się lwów i
tygrysów...

Aleksy się rozśmiał.

— Kochana matko! nie znasz Juljana, a nadewszystko
Anny!

Drabicka spojrzała mu w oczy, ścisnęła ramionami...

— Znam pannę Annę, święta, pocziwa, zacna, wszakże tu i w Żerbach bywa i dosyć spojrzeć na nią, żeby ją pokochać... ale... taki to pani!

— Mamo! to stare uprzedzenie!

— Nieufność szlachecka... być może, ale człowiek człowiekiem; najświętszy ma swoje słabości... Gdyby panna Anna była małego szlachetki córką, tobym przed nią klęka! a tak... to się jej boję...

— Bo jej nie znasz, kochana matko...

— A spojrz-uo, na moje siwe włosy! Nie znam! Ty ją znasz lepiej! oj! dzieciaku! dzieciaku!

Tyle tylko sam na sam z matką pomówić mogli; w dziedzińcu ukazał się zaraz pan Mamert Butkiewicz, za nim pan Pryscjan, za tym pani Celestynowa z Madzią...

— A toż lepsi! spytał po cichu Aleksy.

— Ot powiem ci, żywo odparła Drabicka, już ich wolę, bo od razu jak widzisz tak ich pisz, nie potrzebujesz sobie nad tem głowy łamać, co u nich za pazucha...

— Sługa uniżony pani dobrodziejki, przerwał bogaty pan Mamert — a! i pan Aleksy! gość wielki! jakżem szczęśliwie trafił.

— Moje nszanowanie! cha! cha! zawołał nadchodzący pan Pryscjan — a! jak się tam pan ma?

Nie wiedział nieszcześliwy elegant, że zakochana wdowa, która mu się już dosyć naprzykrzyła, w ślad szła za nim, i zmieszał się trochę, gdy ją wystrojoną zobaczył w ganku z Madzią nieodstępną i parasolikiem, na którym unikając kijka, podpierała się dla niezmiernej tuszy.

— Jakże gorąco! — sznurując usta... przerwała wdówka — Madziu... stój przy mnie... dzień dobry panu Prysejanowi!

Pierzchowski ukłonił się z chłodną grzecznością, pokrywając żywe nienkontentowanie.

Potrzeba było gości wprowadzić do pokoju, bo w ganku pomieścić się nie mogli, nadto był szczupły; pani Drabicka ruszając ramionami, pociągnęła Celestynową, Mamert nie dając się uprzedzić nikomu, wszedł za kobietami, Prysejan poprzedził Aleksego... Przybycie tych kilku osób było tylko zwiastunem odwiedzin sąsiadów wszystkich, którzy się zaraz ściagać zaczęli — i do nocy mieniając się, ubawiali gości, nie mogącego sam na sam z matką pomówić. Nie wiem dla czego, jednak Aleksy po towarzystwie zamkowym, zualał prawie przyjemność w szczebiotaniu dziecinnem dziedziców Żerbiańskich, w ich naiwnych pytaniach i spowiedziach, w prostocie z jaką dawali od razu czytać w sobie jak w księdze otwartej. Czuł ich śmieszności, ale przez nie widział serca, gdy w wyższem owem towarzystwie, z pod grzeczności i szczerości pozornej nic dobyć nie było można, choć uczucie jakieś mówiło, że dua nie dostałeś jeszcze...

Późno w nocy, w towarzystwie Jasia, który go konno przeprowadzał do krzyża, Aleksy odjechał do Karlina... i długo błądził po polach zadumany, pytając się siebie i świata o zagadkę życia? o cel żywota? o tysiące nierozwikłanych zadań, o fałsz i prawdę, o przyszłość społeczeństw?... o ich organizację? o postęp ludzkości, o postęp szczęścia... o ideę ofiary... Koń sam zaniósł go przywykły przede drzwi jego mieszkania...

XII.

— No, cóż to jest, moje dzieci! — zawolał prezes do cisnących się na przywitanie jego Juljana i Anny — powiedźcie mi, po coście mnie wezwali, jakie tam nie-

spodziane szczęście was spotkało? wygraliście miljon na loterii?

— A! więcej! zawołala Anna.

— Więcej niż miljon! na jakiej loterii! krzyknął prezes — czy to być może...

— Nie zrozumiałeś kochany stryju... więcej zyskałismy niż miliony... posłuchaj tylko...

— Słucham, rzekł prezes siadając — ale głupieję, co to być może takiego?

— Aleksey! pocziwy Aleksey, powrócił nam straconego Emila!

Prezes uważnie, ale więcej ciekawości niż radości ukazując słuchać począł.

— Wystaw sobie, kochany stryju, ten najzacniejszy z ludzi, nie nam nie mówiąc, pracował, siłił się... póki nie dobył iskry z uspionego dziecięcia naszego... Emil mówi! Emil czyta! Emil ożył!

— Doprawdy! rzekł zdumiony prezes chłodno... w istocie, to poświęcenie... niewysłowione... to cud... jakże? odzyskał mowę?

— Nie! ale rozmawia znakami i czyta... żyje...

— Tak! metodą głuchoniemych! ale żeby to tylko słabemu jego zdrowiu ten wysiłek nie szkodził, rzekł jakoś kwaskowato prezes... on taki osłabiony...

— Ma się daleko lepiej, polepszyło mu się znacznie...

— Prawda, że to niespodziane szczęście... odezwał się przybyły... słupieję! nigdy nie sądził, żeby to było podobnem... chodźmyż do niego...

— Ja mam brata! ten człowiek dał mi brata, dał syna matce... a! jak potrafimy mu się wywdzięczyć..

— O to się nie frasujcie, rzekł zimno stary elegant — najłatwiej wypłacić się... chodźmy do niego. Sądzę, że

pan Drabicki nie uczynił tego nawet bez myśli... naturalnie przyjąć też nie możemy darmo takiego poświęcenia...

Anna schwyciła za rękę prezesa.

— Na Boga! stryju! wy go nie znacie chyba!

Prezes się uśmiechnął pańsko.

— Ale ba! największe bezinteresowności są najtrudniejsze do opłacenia, ale zawsze się to da zredukować na pieniądze... Poglądził się po czole, spojrział na Juliana...

— Jak sądzisz?

— Sądzę, że Aleksy uczynił to przez żywą przyjaźń dla nas! nie mamy co mówić o wypłaceniu się inaczej jak sercem...

— Możeby to było za drogo! szepnął stary, ale o tem potem, chodźmy do Emila.

Turkot powozu oznajmił przybycie pani Delrio, po którą także posłano; pułkownik i ona wchodzili do salonu; zatrzymano się więc dla nich i nastąpiło przywitanie, jak zawsze zimne, grzeczne, oglądające się zarówno na to, żeby nie chybić, jak żeby uchybienie, jeśliby intencja jego się okazała, odplacić podobną monetą.

Szczera radość błyszczała w oczach matki, która już wiedziała o wszystkim; zarówno chciała widzieć Emila i zbawcę jego i szukała ich oczyma, ale obu ich nie było. Aleksy wyjechał do gospodarstwa umyślnie, spodziewając się przybycia tych gości i unikając podziękowań i oświadczeń; po chwile wszyscy pospieszyli do Emila...

Matka nie widziała go od czasu, gdy bytność jej tak przykre jeszcze na nim zrobiła wrażenie; spodziewała się, że oprzytomniony, ze zwierzątka posłusznego jakimś instynktowi, stawszy się człowiekiem, Emil

inaczej powita ją... że utracone dziecko odzyska.. jakoż nie omyliła się. Anna, która tu rządziła, nie chcąc wszystkich wprowadzać razem, ani zbyt silnie uderzyć słabego jeszcze brata, sama mu wprzód oznajmiła o matce, a potem weszła z nią razem.

Pani Delrio cudowną znalazła w nim zmianę; jedno jego wejrzenie opowiedziało jej o niej... Emil uśmiechnął się do matki pierwszy raz w życiu! a kto pojmuje czem dla serca macierzyńskiego uśmiech i uścisk dziecięcia, ten wyobrazi sobie, jakim szczęściem rozpromieniła się dusza pułkownikowej, która od łez powstrzymać się nie mogła, tuląc biedne swe dziecko do piersi... Tą chwilą rokoszy wypłaciło jej życie dług lat wielu... byłaby padła do nóg swojemu zbawcy, gdyby był stanął przed nią. Emil patrzył na nią jakby ją widział raz pierwszy i uśmiechał się do niej, a żywymi znakami mówił do Anny o matce, która go jeszcze zrozumieć nie mogła.

— Powiedz, że to on zrobił wszystko... on, dał mi poznać Boga, was, matkę i mnie samego...

Za panią Delrio, trochę zazdrosny wszedł prezes pospieszając do Emila i badając go okiem niespokojnem... Nie tyle on nczuł co inni, to zmartwychpowstanie, i nie wiem czemu czoło się jego zasepiło... Wzruszony, po półgodzinnej rozmowie, unikając pułkownikowej, która się synem nasycić nie mogła, wyciągnął za sobą Juljana i wyszedł z nim do ogrodu, pułkownika poleciwszy Poli, nielitościwie szczypiacej go szyderstwy, które on płacił przesadną grzecznością.

Prezes milczał długo zamyślony, aż gdy doszli do *wycieczki* w ogrodzie, gdzie nikt ich słyszeć nie mógł, odwrócił się do Juljana:

— Kto go o to prosił? zawołał rnszając ramionami...

a tego waszego Drabickiego? po co mu się w to było wdawać?

— Jakto stryju? ja cię nie rozumiem...

— Zaraz mnie pojmiesz... wszystko najśliczniej się stało, ale niemniej, kochany Julku... z Emila nigdy nie będzie, bo to istota niepełna, dziś może nieszczęśliwsza niż była wczoraj, a ty, co byłeś przed niedawnym czasem panem całego Karliua, jesteś wydziedziczony z polowy.

Prezes mówił coraz żywiej.

— Głuchoniemych prawo nie usuwa od niczego, jak skoro mają pojęcie świata, język, przytomność... zresztą ktośby myślał o tem? byłaby to niesprawiedliwość... Z tego co widzę, wnoszę, że Emil dojrzeje rychło i stanie się słabą ale na pozór prawnie istniejącą istotą... rozumiesz co z tego za wynikłość? I tak nie byliście w najświetniejszych interesach, a co będzie dalej?

Ruszył ramionami.

— Nie ma co mówić, Drabicki się wam dobrze przyśłużył.

Juljan oburzył się na tę chłodną rachubę i wzdrygnął.

— Stryju kochany, zawolał, twoja miłość dla nas zaślepia cię... opuścić Emila, było to go zabić! godził się coś podobnego myślał nawet przypuścić?

— Ale ktoś go zabija! warjacie! krzyknął prezes... niech żyje, ciesze się, płacząc... jestem szczęśliwy, ale niemniej tyś o połowę uboższy mój drogi! Któż wie! Emil, gdy tak pójdzie dalej, może się zachcieć ożenić! znajdzie się nie jedna, co za niego pójdzie! tysiące! Ci głuchoniemi bywają, jak słyszałem, ekstra miłosnej kompleksji!

— Stryju! stryju! na Boga, nie mów tak, mnie to boli!

— Dziecko jesteś! Nie widzisz, dodał prezes — że to życie Emila jest kalectwem sroższem od zupełnej nieprzytomności; zechce władać sobą, nie potrafi, opanują go ludzie, kto wie! nie posądzam: może Drabicki miał w tem myśl jaką! przywiązał go do siebie...

Juljan jeszcze odepchnął ze zgrozą to przypuszczenie.

— A zatem cicho, rzekł prezes, wierzę w niego, szacuję, ale co się stało, to się stało... ubodzy jesteście i po wszystkim; trzeba na to szukać rady... a w dodatku i myśleć jak panu Drabickiemu to dobrodziejstwo na brzęczącą monetę wymienić.

— Stryju! zakrzyknął Juljan jeszcze.

— A no! to milczę, rzekł prezes zawracając się ku zamkowi... *e sempre bene!* cieszymy się! Radujmy, dziękujmy i śpiewajmy: *Hosanna!*

— Weźmiesz mnie za istotę bardzo poziomą, prozaiczną, rachującą — począł zwróciwszy się ku zamkowi, ale ja znam świat i ludzi. Nie przeczę, że Drabicki uczciwy człowiek, że jego poświęcenie było całkiem beziinteresowne, ale ani Emilowi łaski wielkiej nie zrobił, ani wam...

Juljan się zamyślił.

— Już teraz potrzeba dokończyć wychowanie Emila, — wyjdzie na człowieka niby, na istotę zawojowaną i nie-szczęśliwą, i Karlinem podzielić się będziecie musieli!

— No! to się z ochotą podzielę...

— Trzebaż coś dać i Annie, choć Anna za mąż iść nie myśli, a jej piękność i imię więcej odstręczają niż przynęcają starających się... trzeba porachować dług, i wyznać w końcu, że na Karlińskich bardzo tego mało...

— Alboż małem żyć nie można? spytał Juljan.

— Doskonale, rzekł prezes, ale napróżd potrzeba się

do tego wychować lub przerobić stosownie, nie mieć potrzeb i przywyknień zbytkowych, ograniczyć się chatką, krupnikiem i kapotą... i nie mieć na plecach tego ciężaru, jakim jest do dźwigania wielkie imię podupadłe.

— Muie się zdaje, że z godnością ubogo je nosić można?

— Z godnością! sposobem Cyncynata! na rzepie!! Wybornie! wejrz w obyczaje dzisiejsze! powiesz mi czy to podobna... Odważył się nic a nic nie grać komedji? włożyć siwy surdut i nie wzdychać po zbytkowych nałogach? Wątpię... Ale masz dwoje do wyboru, albo tę rolę ciężką imienia bez mienia, albo lżejszą perspektywę ożenienia bogatego...

— Za nic! stryju!

— Jakto? co ci to jest? spytał prezes spoglądając mu w oczy.

— To przeciw przekonaniu mojemu, to upokarzające... to sprzedaż haniebna!

— Młode pojęcia! młode! Spodziewam się, że Karliński nie jest holyszem ladajakim i coś też daje w zamian tej, z którą się ożeni; powtóre, dla czego przypuszczasz zaraz, że to związek bez przywiązania! A może ci się panna podoba?

Juljan nic nie odpowiedział — i tak skończyli rozmowę, która obu była nieprzyjemną. Prezes jednak, choć się nie wstrzymał przed synowcem, ukrył doskonale uczucie swoje dla pułkownikostwa i Anny, śpiewał pochwały Aleksego, cieszył się Emilem, i nie pokazał po sobie, że prozaiczna rachuba dla dwojga ukochanych, niesprawiedliwym czyniła go dla trzeciej wydziedziczonej istoty...

Późno wieczorem powrócił Aleksy i nie przyszedł

do salonu, zawsze obawiając się podziękowań, i dając za pozór zajęcia nagle; prezes nic na to nie rzekł, bo rad był odłożyć dzięki fałszywe, ale pułkownikowa szepnęła coś Juljanowi, wyszła z nim potajemnie i wprost udała się do mieszkania Drabickiego; prawdziwe uczucie nie dozwalało jej oglądać się na przyzwoitość. Zdumiał się Aleksy widząc ją wchodzącą, zmieszał, ale mu nie dała czasu opamiętać się.

— Wróciłeś mi pan dziecko, zawołała z uczuciem — mało jest za to oświadczyć wdzięczność, dałeś mi najszczęśliwszą chwilę w życiu, przyszedł panu powiedzieć i przy Julku się zobowiązać, że odtąd pana jak własne uważam dziecko i po nich pierwszem mieszczę w sercu... Nie wierzyłam w ludzi, dałeś mi pocieszającą tę wiare; niech ci Bóg zesze szczęście i błogosławieństwo takie, jakim mnie dziś przez twoje ręce obdarzył!

Wielkie uczucie daje czasem wymowę, daje uroczystą powagę nawet najmniej w pospolitem życiu do tego usposobionym; piękna, uczuciowa, trochę za młoda na swój wiek pułkownikowa, w tej chwili przybrała postawę tak godną, że Aleksy z uszanowaniem przyjął jej oświadczenie, w którego szczerość uwierzyć musiał.

— Niech mi pani wierzy, rzekł skromnie, że najwyższą dla mnie nagrodą jest cel który szczęśliwie otrzymałem; zrobiłem com był powinien, jak tylko to uczynić mogłem, a jeśli państwo chcecie mi dowieść, że macie dla mnie choć trochę przyjaźni, nie mówmy o tem więcej.

Po kilku słowach, mile przemówionych jeszcze, Juljan z matką wyszli nazad do salonu, ale prezes domyślił się tej wycieczki i widząc się uprzedzonym, nie dał poznać po sobie, że to odgadł. Zamyślony chodził,

podłartowywał z pułkownika, grzecznościami obsypywał dawną bratową, a poglądał uważnie na to co się w koło działo.

Traf chciał, że to był dzień właśnie jakiegoś zagniewania i złego humoru na Polę; obejście się jej z Julianem, który zniecierpliwiony, nieostrożny, coraz to do niej przybiegał, błagając o przebaczenie choć nie widział swej winy, — nie uszły oka prezesa.

— Coś jest! rzekł w duchu do siebie... zwąchali się... bodaj czy pułkownikowa nie miała słuszności! Ta intrygantka gotowa go uwikłać! Przybycie Emila i ożenienie Juliana z tą szurpą, strasznie by poniżyło Karlińskich... potrzeba radzić...

Wpadł na tę myśl prezes, że Aleksy coś wiedzieć powinien, że od niegoby można dojść tajemnicy i jego użyć do działania, ale zawahał się posadzając zaraz Drabickiego o współnictwo, posilkowanie, intrygę...

Jest to wadą zbyt przebiegłych i świat niby znających ludzi, że zawsze chętnie posadzają drugich o nie szczerość, ndawanie, o zamiary jakieś skryte; ztąd dopatrują się rzeczy niebyłych i nadto rozumu nie dozwala im pójść najprostszą drogą do celu.

Prezes zaczawszy rozbierać wszystko, doszedł, że Drabicki umyślnie Emila wyrwał z tego stanu upadku, aby nim zawładnąć; że Julianowi pomagać musiał u Poli, przez same swe demokratyczne zasady itd. itd. Postanowił więc, patrzeć, dochodzić, nikogo się nie radzić, i postąpić gdy będzie potrzeba stanowczo, ale sam przez się.

— Pięknegom tu ptaszka włożył do klatki! — rzekł w duchu, — Annę nawet opanował! lichy go wie, gotów oszaleć i o niej pomyśleć; takim panom to się śni tylko!

Zgubieni Karlińscy jeśli się temu nie zapobieży!

Skutkiem tej cichej z sobą narady, usiadłszy do herbaty prezes odezwał się wesoło.

— Bardzom rad, że się w domu obrobił, że interesów pilnych nie mam... zabawię przynajmniej w Karlinie i nacieszę z wami...

Pułkownikowa wzięła to za zwykłą groźbę, wypędzając ją, ale teraz tak była szczęśliwa, że się nawet prezesa nie obawiała, a pułkownik odparł wzdychając...

— Co do mnie, jakkolwiek uczucia rodziny, do której poniekąd mam szczęście należeć, podzielam, tak jestem nieszczęśliwy, że wyjechać muszę...

— *Poniekąd!* szczęściem, że te poniekąd włożył, rzekł prezes, myślałem, że już na prawdę obdarzy nas swoim pokrewieństwem...

Juljan i Pola nie wystrzegając się wcale prezesa, choć niby nie spoglądali na siebie, chodzili za sobą, choć się nie szukali, spotykali co chwila, tu i owdzie rzucali słówka, które przez głowy wszystkich ich dwoje tylko dosiadać miały; nie uważali, że stryj i matka mieli na to zwrócone oczy, że oboje odgadli... że nim wieczór minął, prezes miał pewność ich przywiązania i wyszedł przestraszony, bo się domyślał nawet jak daleko zajść mogli z pewnych oznak wprawnemu oku widocznych.

Co tu było począć? Naprzód, trzeba się było upewnić, że tak było, potem działać; a tu w dodatku przestroga pułkownikowej, jej przeczucie, co się tak rychło ziściło, piekło prezesa, bo go upokarzało...

Powinien jej być posłuchać... matka miała prawo powiedzieć mu: — Odgadłam to oddawna! nie robiłeś nic... sameś winien!

XIII.

Cofnąwszy się do swego pokoju, prezes chodził długo niespokojny, potrzebował rady czyjejs, upewnienia, aby mógł działać rychło; ważył kogo zapytać, komu się otworzyć, i nie prędko postanowił udać się do Bornowskiego. Bornowski był starym sługą ich domu, jedynym z tych dawnego etatu oficjalistów, poczciwych z kośćmi, którzy i sami nie mieli i panom nie dawali. Dla wierności swej i przywiązania kochano go i długo wahano się odebrać mu urząd rewizora w do-brach, który łączył z ekonomją przyległego folwarku; nareszcie gdy codzień szło gorzej, pod pozorem wieku i choroby, ofiarowano mu emeryturę. Bornowski dostał dworek, ogródek, ordynarję, trzysta złotych, a że żony i dzieci nie miał, wybornie mu to wystarczało. Choć miał lat pięćdziesiąt kilka i wysiwał, szparki był jeszcze, rzeźwy, i za łaskę sobie wyprosił jakieś choć pozor-ne zajęcie, żeby darmo chleba nie jadł. Zrobiono go więc marszałkiem dworu niby, totumfackim, pilnu-jącym porządku między sługami, którzy się z niego śmieli; kręcił się, chodził, krzyczał, gdyż całe życie był niesłuchanie czynny i zawsze go o staje słychać było tak hałasował i odgrzązał się; zmęczony i schrzyply, pięć czy sześć razy miał powód słuszny napić się wódki, którą lubił, i tak pędził godziny żywota na pozór za-jety, w istocie najuroczyściej próżnując.

Bornowski był jednym z tych ludzi, których cała powierzchowność zwodzi; słuszny, krzepki, silny, ru-chawy, nie żalujący gęby, cały dzień na nogach, nako-niu, w pocie i mozole, nic nie robił. Szamotał się, był

przekonany, że pracuje, ale ślepy był, i oszukiwać się dawał wszystkim. Oczy jego pełne sprytu, ognia, usta pełne obietnic: — U mnie to duchem! Ja to zaraz panie! oho! oni mnie znają! — kłamały najbezczelniej, bo Bornowski nigdy nic nie zrobił, pod największym zakładem. — Gawęda, hałasowanie, opowiadania, anegdorki wszystek czas mu zajmowały; łajał strasznie, ale nie bił nigdy; przychodził potem z niczem, jakby dopełnił najcisłej rozkazów, z zimną krwią spowiadając się z nieudolności, na której się nie umiał poznać. Przytem serce złote, przywiązanie do szachu posunięte, bezinteresowność największa... Ograniczony dosyć, ludzi z praktyki zgadywał doskonale, choć z tego nie korzystał nigdy; i tak wiedział, paplając ciągle ze wszystkimi, co się gdzie we dworze działo, co kto zrobił i powiedział, jak nikt lepiej. Kto się chciał czego dopytać, do niego szedł jak w dym, a że tajemnicy nie utrzymał, wyciągano z niego co gdzie miał, zbrodni własnej pod dobry humor byłby się wypowiadał.

Za rządów Juljana używany był czasem Bornowski do posyłek, pilnowania roboty itp. Aleksey choć się rychło na nim poznał, nie usunął go zupełnie i dozwalał mu się sądzić czynnym członkiem administracji Karlińskiej, choć to tylko mu powierzał, coby się i samo bez niego zrobić mogło, lub mogło całkiem nie robić.

Bornowski mógł mieć lat pięćdziesiąt kilka, włos na głowie i ogromne wąsy szpakowate, prosto się trzymał wyglądając na odstawnego wojskowego, oczy miał mocno wypukłe i żywe, policzki rumiane, nos duży, usta odęte i podbródek okryty siwym zarostem; choć stary kawaler, jeszcze cholewki smalił i w garderobie zawsze

miął najmniej dwa romanse rozpoczęte: jeden w pełnym rozkwicie, drugi na zapas, w przypadku zdrady niewieściej, żeby nie okazać się ani chwili strapionym i upokorzonym. Panny robiły z nim co chciały i żarty z niego stroiły nielitościwe; owe trzysta złotych szły na przysługę i prezenta!

— Mój Bornowski, zapytał prezes zasiadłszy w krzesło sam na sam z nim, kazawszy go zaraz zawołać, powiedz-że mi, co tu u was słychać?

— A cóż? JW. prezesie, chwalić pana Boga, wszystko dobrze...

— Kontenci jesteście z pana Drabickiego?

— Jakże nie, JW. panie, człowiek porządny, czynny... jak w zegarku u niego wszystko... Nie było źle i za JW. dziedzica, ale jemu to ciężło; on, proszę JW. pana nie do tego stworzony, a Drabickiemu w to graj.

— Prawda? czynny i uczciwy człowiek!

— A! uczciwy! i dobry i głowa JW. panie, co to za głowa! A jak na ludziach umie się poznawać! Ze mną, proszę JW. pana, to tak było, popatrzał tylko, i już zwąchał gdzie mnie użyć! Jak tylko potrzeba duchem, prędko i po żołniersku, pewnie zawezwie Bornowskiego. Już to ostry nie daruje, ale sumienny człowiek...

— Lubią go ludzie?

— Oficjaliści nie koniecznie, proszę JW. pana, chłopci bardzo... rygorysta, w rachunkach go nie podejść... a pracuje jak wół.

— A pan Julian co porabia?

— Cóż? dobre panisko, trochę sobie odpoczywa...

— Słuchaj-no Bornowski, z cicha spytał prezes, czy mi się przywiduje, czy pan Julian z panną Apolonją wdał się w jakieś miłostki? Jak ci się zdaje?... Nie

postrzegłeś ty nic, bo to z ciebie kuta sztuka.

Bornowski z uśmiechem siwego wosa podkręcił.

Pochlebiało mu to pofne zapytanie, obejrzał się, podniósł rękę, machnął nią, rozśmiał i potwierdzająco skinął głową.

— Zwyczajnie młodość, rzekł...

— I tyś tego dopatrzył?

— Proszę JW. pana, człowiek dworski zna swój fach, ślepy być powinien; nikomu bym tego nie powiedział tylko JW. panu... zwyczajna kolej... młodzi, a ciągle się na siebie patrzą, jakże miało być inaczej? Krew nie woda, Jaśnie panie!

— Widziałeś co? gadają ludzie o tem? dorzucił prezes niespokojny.

— Ludzie gadać nie śmieją, ale jak tego nie widzieć, kiedy się wcale, proszę JW. pana nie tają...

— Rozpowiedz-że no co wiesz, możeby na to lekarstwa poszukać potrzeba.

— JW. pan mnie nie zdradzi?

— Głupi jesteś, mój Bornowski... kogożem ja zdradził?

— Bardzo dziękuję JW. panu, z pokłonem odpowiedział marszałek dworu; ja na to raz w raz patrzę... i najlepiej to wiem; formalny romans, ja się na tem znam...

— I schadzki? spytał prezes.

— Codziennie, w ogrodzie, po pokojach, na spacerach...

Machnął ręką i rozśmiał się tuląc ręką usta...

— I nic się nie kryją!

— Im się zdaje, że ich nikt nie widzi i nikt nie zgadnie; ale to w oczy skacze, proszę JW. pana.

— Jak ci się zda? bardzo są z sobą blisko?

— Tego nie wiem, ale słowa nie ma, że blisko być muszą... nawet — bardzo blisko!

— A panna Anna?

— Ten anioł, proszę JW. prezesa, nie nie widzi, bo to niewinne jak dziecko.

Prezes potarł czoło...

— A Aleksy Drabicki?

— Musiał się domysleć, ale wie jako człowiek sprytny, że palca między drzwi kłaść nie można...

— Może im i dopomaga? rzucił prezes.

— E! nie! odparł Bornowski, pomocy oni nie potrzebują wcale, sami sobie rady dają... a przeszkadzać też nie może. Na coby miał pomagać! Gdy tu przybył, już się na to zbierało — a potem poszło swoim porządkiem.

Doszedłszy czego chciał, a nawet dowiedziawszy się szczegółów, prezes odprawił Bornowskiego, i z niepokojem w duszy spać się położył; nadto był przywiązany do tych swoich, jak je nazywał, dzieci, żeby go Juliana miłości żywo obchodzić nie miały; próżno starał się zasnąć i z północy nie mogąc się snu doczekać, wyszedł do ogrodu, żeby się ochłodzić i namysleć co czynić.

Apartament jego na dole wychodził szklannymi drzwiami w ulicę boczną, otworzywszy je, prezes znalazł się w cienistym parku... Już z pół godziny błądził tak po szpalerach, gdy przesuwając się około altany lipowej, szmer jakiś go zastanowił; postrzegł jakby dwie postacie siedzące pod drzewy na ławce, i wcale nie wahając się w takim razie szpiegować, zbliżył się po cichu...

Był to Julian z Polą... czego domysleć się łatwo, jak zwykle, nie pamiętni na to co ich otaczało, nie ostrożni i tak zajęci sobą, że o oczach ludzkich ani nawet myśleli; żywa rozmowa wyrwała się z pod lip dosyć głośno i wyraźnie tak, że prezes całą ją mógł

podслуhać.

— Nie mów mi o tem, wołała Pola głosem łkania i namiętności pełnym — ja się nie łudzę nadziejami i nie nie pragnę od przyszłości; wiem dobrze, że ci twoja rodzina biednej sieroty zaślubić nie pozwoli, ale wyznaj, żem na to dając ci się nie rachowała. Miłość moja zapłaciła się chwilą szczęścia, nic jej więcej nie potrzeba; przyszłość nie nasza... ktoś z ludzi może być jej pewnym?... Ja nic nie chcę prócz twego serca...

Prezes głową pokiwał z niedowierzaniem...

— Moja najdroższa, odpowiedział Julian słabym głosem, tyś nie rachowała na przyszłość, ale ja dla mojego szczęścia zapewnić ją sobie muszę... Mógłbym wyżyć bez ciebie? Bądź spokojna...

— Bylebyś mnie kochał... nie chcę więcej.

— Ty się dręczysz przywidzeniami.

— Nie wymawiaj mi, ja sama wiem, że żółcią dolewam ten drobny kielich szczęścia, który mi Opatrzność zesłała, ale nie umiem kochać inaczej: kocham gwałtownie, kocham i marzę, i truję się i zabijam... moją miłością. W oczach twoich zdaje się czytać to obojętność, to wzgardę, to znużenie; wybucham, dręcę nas oboje... to kara za grzech mój!

— A! ty to nazywasz grzechem?

— Nie kłam przedemną, ja znam com zrobiła i potrafię nazwać tak, jak się to nazywa... Sierota, sługa co szaloną potrzebą miłości wspina się tak wysoko, mać pokój domowej strzechy, która ją przyjęła, zdradza przyjaźń najczulszą... o! to szkaradnie... ale grzech moim jest tylko i pokuta moja będzie... Dla ciebie miłość ta przejdzie jak sen; w marzeniach późniejszego wieku przypomnisz ją sobie jak coś niepojętego i strasznego...

dla mnie to karim na życie całe, a może jałmużna na drogę wieczności, na śmierć! A! bo ja umrę! potrzebuję umrzeć, jeśli nas rozłącza! ciężaru tego życia dźwigałabym nie potrafiła, oszalałabym... wydałabym ciebie i siebie... wściekle rzucałabym się na ludzi.

Pola się rozplakała, Julian pocieszać ją zaczął.

— Dziecko, rzekł, także mało rachujesz na mnie i serce moje?

— Złote serce, odparła sierota... ale jest-żeś ty panem pójść za niem? Prezes, matka, lada chwilę nas odgadną, może już wiedzą o wszystkim, oskoczą cię, mnie wygnają... ulegniesz... Tak, to nieuchronne — ja to widzę, chciałabym tylko chwilę tej śmierci odsunąć, odwlec — odciągnąć... O! ty ulegniesz...

— Nigdy, rzekł Julian, zbierając się na siłę...

— Cicho! nie przyrzekaj mi nic, bo niczego nie żądam. Myślisz, że przyjąłabym od ciebie w nagrodę tej narzuconej miłości, twoją rękę, twoje imię, twoją przyszłość? Nie! jam tylko marzeniem dla ciebie, inna będzie rzeczywistością; cała oddałam ci się, nie żebyś mi za to zapłacił... ale żem cię kochała... miłością bez granic... Myślisz, że dozwoliłabym, aby świat czyste serce moje osądził i miłość uczynił targiem i podstępem... nie! i ja mam dumę moją! Chętnie robię ofiarę, ale nie przyjmuję poświęcenia; właśnie dla tego, żem uboga, dać pragnę, nie przyjmować.

— Polo! aniele drogi... w tem wszystkim, pomyśl czem mnie czynisz; ja ci mówić pozwalam! ale to mnie boli...

— O! gdybym ci mogła bolu oszczędzić! niestety! bez niego nie rozerwą się te węzły, spięś z ust moich pierwszą może czystsza rokosz życia, i czary tej nie

zapomnisz... Aleś ty mężczyzna!

— Tyś kobieta! mógłbym powiedzieć!

— Tak! i kobiety bywają niestałe... ale daue szczęście przywiązuje je do tych, którym były aniołami na chwilę, gdy was nuży i zniechęca miłość; kochacie, dopóki zdobywać miłość potrzeba; zdobytą rzucacie pod nogi, jak szmat zdarty białej sukni, co wczoraj była szatą bawową...

— Może są i tacy — ale ja!

— Każdy wyjątkiem póki kocha... nazajutrz wszyscy podobni do siebie...

Prezes nie dosłyszał już reszty, i słuchać nie potrzebował; korzystał z gorącego uścisku, by się wymknąć niepostrzeżony i powrócił do pokoju, niespokojniejszy niż kiedy.

Wszakże dziękował losowi, który go tam zawiódł, bo nic nad tę rozmowę lepiej go ze stanem serc tej pary obeznać nie mogło; jakkolwiek niedowierzający, prezes nie omylił się na Poli, nie posądzał ją nawet, żałował tylko...

Była chwila, że się zawahał, ale głos jej, łzami przeplatany, wyraz o szczerości jego świadczący, złamały w nim podejrzenia... Snu już ani było pytać, siadł i zadumał się co począć. Lada chwila pułkownikowa dopatrzyć mogła tych stosunków, jak on je łatwo wysłedził; należało uprzedzić i odmalować umyślnem co było przypadkowem; prezes cały plan osnuł sobie. Zamiast robić uwagi Juljanowi, z drugiej strony zwrócić się naprzód postanowił do Poli i niezwłocznie dla Karlińskiego myśleć o ożenieniu, by pamięć tych miłości zatrzeć i zagładzić surowszemi obowiązkanii.

XIV.

Nazajutrz sam pan prezes szukał pułkownikowej; zrana Delrio odjechał, ona pozostała jeszcze, chcąc się Emilem nacieszyć; szczęście czyniło ją obojętną nawet na prześladowania drobne nieubłaganego nieprzyjaciela. Zeszli się przed objadem w gabinecie; pułkownikowa weselsza niż zwykle, prezes zbladły, pomieszany, ale dość dobrze odgrywający rolę człowieka, który się czuje panem położenia swego.

— Gdyśmy się widzieli ostatnim razem — rzekł z cicha siadając przy bratowej — pani pułkownikowa udzieliłaś mi obawy swojej co do Poli i Juliana...

— Obawa ta nie była, zdaje mi się, urojeniem...

— Bynajmniej, jam to widział jak pani, może wcześniej jeszcze, ale nie cierpliwiąc się, powoli szedłem z pewnym planem do celu. Dostrzegłem, że się kochają, ale jak wówczas, tak dziś mogę zaręczyć, że Pola żadnych nie miała zamiarów. Z drugiej strony, znałem Juliana; jest to jeden z tych charakterów pocziwych a słabych, w których tylko rozdrażnieniem i sprzeciwieństwem pewną energję i opór wywołać można. Nie zdało mi się stawać na drodze i wyrabiać w nim niepotrzebne siły; wołałem puścić tę namiętność drogą jej naturalną i dać się zniszczyć samej w sobie.

— Może to być niezmiernie trafne, odparła pułkownikowa — ale czy nie zawiedzie rachuba?...

— Zdaje mi się, że dosyć znam serce ludzkie; Julian, gdybyśmy mu stawiali przeszkodą, byłby się zbuntował i zrobił na przekór; dziś kocha się, wykocha, przekocha i porzuci.

— Jak pan prezes zimno to obrachowujesz...

— Po ludzku, pani; smutne to, ale prawdziwe... Pola nie miała zamiaru go usidlić; kochała i kocha go szczerze, jest dumna; przemówić do niej dosyć, by mu swobodę wróciła. Znam ją, prosiłbym tylko pani, abyś spuszczając się na mnie, była łaskawą nie mi nie mieszać i nie przeszkadzać.

— A cóż ja tu znaczę! — z urazą zawołała pani Delrio.

— I owszem, pani, tylko że mi się to zdaje raczej przyzwoitą robotą dla mężczyzny, niż dla kobiety... Trzeba i tę biedną Polę oszczędzić; damy jej posążek, wyprawim za męża, a Juliana ożenimy.

— A jeśli to za późno? jeśli Julian szczerze ją kocha?

— I Julian szczerze ją dziś kocha, to pewna, i późno jest; ale w takim razie im później, tem bezpieczniej... trzeba dać tej namiętności przejść wszystkie epoki... i samej się w sobie wytrawić.

Pulkownikowa ruszyła ramionami z niechęcią i wstrętem.

— Niech pan prezes robi sobie co mu się podoba,— zawołała żywo, ja się pewnie nie wmięszam do niczego; dla mnie ta sama myśl, że ta święta Anna przez czas jakiś otoczona była wyziewami ich nieprzyzwoitych miłostek... jest oburzającą... radabym, żeby się to jak najprędzej skończyło.

— I ja pewnie — rzekł prezes, o to starać się będę...

— Co za zuchwalstwo w tej dziewczynie, sierocie, co za śmiałość podnieść oczy na Julka! uwikłać go! przywiązać...

Prezes się rozśmiał.

— Pani jesteś względem niej niesprawiedliwa, rzekł—

możnaż żyć pod jednym dachem z Julianem i namiętnie do niego się nie przywiązać? A młodość? a potrzeba serca? ja jej nie obwiniam. Zresztą, w ciszy się to skończy; wydamy ją, oddalim, a ludzie wiedzieć nie będą.

Anna, która weszła niespodzianie, przerwała rozmowę. Prezes zaczął dopytywać o gospodarstwo pułkownika, wtracił coś o polityce i usiłował rozweselić się, choć niepokój trapił go w sercu.

Przybycie Aleksego, dla którego, zdała go uważnie postrzegając, niezmiernie był grzeczny, nowy żywioł wlało w rozmowę; weszła Pola i tym instynktem niepojętym, który daje rozwinięte wysoko uczucie, na widok prezesa, wczoraj jeszcze prawie jej obojętnego, wzdrygnęła się, dziś nieprzyjaciela w nim czując.

Dość było jednego spojrzenia, by odgadła, że ten grzeczny i chłodny człowiek, ciężko wpłynąć ma na jej życie i losy; zimny dreszcz ją przebiegł, smutna starała się go unikać. Prezes nie oglądał się, a widział to wszystko; nie uszło jego baczności i to machinalne wzdrygnięcie, starał się jak najsłodszy okazać dla Poli. Ona uciekała, nie umiała sobie wytłumaczyć, dla czego ten obojętny jej dotąd prezes takim ją dziś przejmował strachem, ale wiedziała, że ta antypatja nie była daremną. Wielkie przywiązanie przeczuwa tak w otaczających z jasnowidzeniem zadziwiającem, przyjaciół i nieprzyjaciół, tych, co mu staną na zawadzie lub zamkną oczy i pobłążą... nie rozumuje ono, ale wie od razu, od kogo uciekać, do kogo się ma przytulić. Pola w Aleksym nie czuła nieprzyjaciela, w prezesie domyślała się kata, w pułkownikowej niełitościwego sędziego... Julian również był niespokojny i znużony jak ona; wszystkie przejścia

i dzieje tej namiętności przygniatały go; kochał, ale się czuł w więzach i męczarni... ostatek energii wyczerpał w tej walce tajemnej.

Tego dnia i przez kilka następnych, prezes w milczeniu bawił się chwytnością odcieni, łapał wyrazy, podsłuchiwał i ugruntował się w przekonaniu, że mu inaczej jak przez Polę działać nie było można. Czekał tylko wyjazdu pułkownikowej; Juljana sam wysłał wieczorem umyślnie w sąsiedztwo, Annę odprawił do Emila, Aleksego zajął robotą i sam na sam został z Polą...

Biedna ofiara widząc te przygotowania, domyślała się godziny ciężkiej, którą przebyć miała; chciała uciec, uniknąć spotkania z prezesem, zmyśliła ból głowy, położyła się, ale Karliński kazał ją tak usilnie prosić, aby mu dotrzymała towarzystwa, że z drżeniem, nieszczęśliwa Pola wyszła do niego jak na stracenie...

Toż samo przeczucie, które jej w prezesie wskazywało nieprzyjaciela, mówiło teraz, że wybiła godzina ofiary. Prezes przyjął ją uśmiechem, zaczął od żarcików, a widząc kręcące się w jej oczach łzy, starał ośmielić i ubezpieczyć — na próżno... wyglądała tylko chwili, gdy usta otworzy, i ćmiło się jej w głowie i dziwne mury czarne przelatywały przed zbłąkaną żrenicą.

— Pójdźmy się przejść do ogrodu! rzekł nareszcie stary, obawiając się, by go nie podsłuchano w pokojach.

— Prawdziwie pan jesteś nielitościwy, odparła słabnąc Pola — mnie tak głowa boli... jam tak zmęczona...

— Przechadzka to najlepsze lekarstwo! przejdziemy się chwilę tylko i powrócimy zaraz.

— Koniecznie? — spytała blagajaco sierota.

— Jeśli łaska! grzecznie zawsze rzekł prezes — i

drzwi otworzył. Wyszli — i jakiś czas trwało zabójcze milczenie. Poli serce biło tak żywo, że słyhać było ruch jego gwałtowny: twarz oblewała się krwią, to znowu bladła jak marmur... oddechu brakło... zimny pot występował na skronie.

— Panno Apolonio — odezwał się, biorąc ją za rękę Karliński — musimy pomówić z sobą otwarcie, szczerze i po przyjacielsku...

Pola nic nie odpowiedziała; nadto dobrze zrozumiała słowa prezesa, dłuższe udawanie jej ciążyło, wołała śmierć niż tę męczarnię.

— Ja wiem wszystko, kończył Karliński z przyciskiem — potrzeba radzić i myśleć o tem... Sprzyjam pani i dla tego z nią pierwszą mówię o tem...

Łzy strumieniem rzuciły się z oczów sierocie.

— Pan wiesz wszystko, a ja nic taić nie chcę, odparła z dumą pewną. — Jakaż na to rada? oto wypędzić nieszczęśliwą, która niepokój, namiętność, wstyd wniosła do waszego domu, co ją przytulił i okrył swoją opieką... Jeśli jakąkolwiek ofiarą okupić potrafię grzech mój, mów pan, jam gotowa...

— Zawszem rachował na czystą jej duszę, na charakter, na pojęcie zdrowe o ludziach i świecie, zimno rzekł prezes; — namiętność w młodym wieku jest potrzebną, jest koniecznością, jest życiem; nie obwiniam pani, ale jej żałuję. Pojmuję, że żyć z nim, a nie kochać go, było niepodobna, ale on daleko winniejszy od pani!

— On! — przerwała Pola — mylisz się pan; on unikał, uciekał, bronił się, ja to sama nastreczyłam mu się z szalonym przywiązaniem, jam winna i nikt więcej!

— Powtarzam pani, nie winną nie jesteś... ale... do-

rzucił Karliński, niemniej przeczuć powinnaś, czem to grozi. Sądzę, żeś pani nigdy nie myślała, żeby się z nią Julian mógł ożenić; trafia się to w książkach, ale na świecie! prawie nigdy; a gdy się trafi, prowadzi do ofiar ciężkich, do nieszczęść wielkich.

— Pan mnie przecie nie posadzasz o taką podłą rachubę?

— Ani na chwilę! ale bez rachuby, przywiązałaś go pani tak poświęceniem swoim, oddaniem mu się.

Pola zasłoniła oczy... ale je prędko podniosła śmiało i błyszczące na prezesa, jakby się wstydu swego zawstydzila.

— Pani go tak przywiązałaś do siebie, że złe, które się stało przez nią, przez nią tylko może być ułconem...

— Rozkazuj pan, odparła Pola chłodno — słucham...

— Julian — mówił prezes — kocha pierwszą miłością, szaloną; rozdrażniony, rzuci się do ostatecznych środków; rozumowaniem, przeciwieństwem, niczem go odwieść nie będzie można... To pani tylko uczynić możesz...

— Uczynię wszystko; potrzeba bym zapłaciła chwilę szczęścia... ale panie — zawołała składając ręce — pozwól mi ją przedłużyć jeszcze... to ostatnia!

— Nie, nie, nie! — przerwał nieubłagany sędzia — im dłużej Julian pozostanie w tych więzach, tem do nich mocniej przyrośnie.

— Miesiąc, tydzień, dni kilka, daruj mi pan jeszcze.

— Ani dnia; i dla pani i dla niego im prędzej tem lepiej... potrzeba skończyć.

— Spodziewałam się tego, nabierając męstwa odpowiedziała Pola — będę posłuszną, ale umrę.

— Żyć pani będziesz... i żyć szczęśliwą...

— Ale jakąż męczarnię wymyśliliście dla mnie?

— Kochasz go, czy nie?

— Czy ja go kocham! on wąpi! — wykrzyknęła Pola zalewając się łzami... on wąpi!

— Największe miłości, jak wszelkie ludzkie sprawy, mają początek i koniec... i ta się skończyć musi...

— Śmiercią!

— Nie, obojętnością tylko, odparł prezes. — Chcesz-li pani zatruć wspomnieniami całe życie Juljanowi? uczynić go nieszczęśliwym? zostawić mu żale wiekuiste?

— Ale czegoż wymagasz pan po mnie?

— Potrzeba, żebyś pani zerwała sama, żebyś pokochała innego, odepchnęła Juljana, bo tym tylko sposobem możesz złe zrobione naprawić.

Pola rozśmiała się męczeńskim, spazmatycznym śmiechem.

— Koniec godny początku — zawołała! ostatnia scena krótkiego dramatu obmyślana przewybornie. Ale na Boga, wypędźcie mnie lepiej, zabijcie, skalajcie wzgardą...

— Toby się właśnie ua nic nie przydało, odparł prezes, którego głębokie uczucie Poli nic a nic nie poruszało — za wypędzoną poleciałby na drugi koniec świata, za odepchniętą by się ujął, za zabitą by płakał, a po zdradzie zostanie mu tylko...

— Pogarda!!

— Obojętność! — poprawił grzecznie a zawsze chłodno prezes.

— Byłeś pan kiedy młodym? miałeś pan serce? — spytała nagle Pola...

Uśmiechnął się Karliński.

— Pochlebiam sobie, że jeszcze jakąś jego resztkę w

piersi noszę... i w imię jego zapewniam pani, że tę ofiarę, do której jesteś obowiązana, będziemy się starali uczynić jak najłżejszą; wybierzesz pani kogo chcesz, ożenim ją, wyposażym...

Pola odskoczyła jak piorunem rażona, wściekła z bólu.

— Pan śmiesz mi to mówić, rozdarłszy mi duszę... a! to szkarada, to zgroza! to uragowisko! to podłość!

— Cicho! na Boga cicho, posłyszają nas!

— Niech słyszą! — krzyknęła Pola... pan nie wiesz jakie uczucie rozbudziłeś w mojem sercu? uczucie zemsty, silne jak miłość... Ja los wasz trzymam w ręku; jeśli zechcę ożeni się ze mną... i uczynię to, jeśli mi pań będziesz śmiał raz jeszcze rzucić myśl podobną... Za kogo pan mnie masz?

— Za najszlachetniejszą istotę, zawołał prezes poczuwszy się na fałszywej drodze — na klęczkach panią przepraszam...

— O! taka uraza się nie zapomina — odpowiedziała Pola — tego brakło! chcą mi zapłacić! zapłacić! a! to okropne!

— Nie miałem tej myśli.

— Miałeś pan myśl tę... nie znasz ubogich... księżęta i królowie płacą swoim kochankom i za mąż je wydają; chciałeś pan postąpić ze mną ich przykładem! ale wyście nie księżęta, a jam nie z tych kobiet, które im za kochanki służą.

— Pani się gniewasz? do naszych układów więcej zimnej krwi potrzeba.

— Ja jej nie mam i mieć nie mogę.

— Bez niej nie poradzim jednak; kochasz pani Juliana: największym dowodem miłości dla niego byłoby poświęcenie. Nie zostawić mn żalu, oszczędzić bo-

leści...

— Tak mi mów pan, panie prezesie... to rozumiem...

— Wiedziałem, że język ten pojmiesz pani...

— Co mam zrobić? co mam zrobić?

— Potrzeba, mówiłem pani, zając się kim innym, porzucić go, rozgniewać, i koniecznie, koniecznie pójść za mąż.

— Odegrać komedję! dramat! udawać, kłamać i samej sobie serce rozedrzeć.

— Pani, jam temu nie winien.

— Tak! jam winna! masz pan słuszość, muszę odpokutować za winę... oszczędzić mu zgryzot i żalu, z boleścią w sercu uśmiechnąć się do nieszczęśliwej ofiary, którą wybiorę, i zatruć drugiemu życie...

— Pani to bierzesz tak tragicznie!

— Pan tak poziomo i obojętnie! Wszystko to dla pana jest niczem; kochać i samej stargać węzeł najświętszy, własną ręką, z dobrej woli; udawać miłość drugą gdy się wstręt czuć będzie, oszukać wreszcie biednego, który ze mną padnie ofiarą. Ha! — dodała śmiejąc się szydersko — co mi tam drudzy! niech cierpią! alboż ja nie cierpię także? Alboż szczęściu Juljana nie warto poświęcić kilku ofiar mizernych?

— Mam więc słowo pani? — spytał prezes.

— Słuchaj pan, odpowiedziała stanowczo — zrobię co każesz, choć umrę; czuję, że tego nie przeżyję, ale mam się sama postawiła w tem położeniu i pokutę przyjmuję, to będzie jeszcze dowodem mojej miłości dla niego; ale jeśli słowem, skinieniem, myślą, zechcecie mi płacić za ofiary, zburzę wszystko, rzucę mu się na szyję i wyrwę go wam z rąk na wieki...

— Proszę mi przebaczyć nieostrożne słowo...

— Zostaw pan mnie co mam czynić i bądź spokojnym: nie cenię życia. Spiłam z niego co było najlepszego, reszta nie warta ust... rozbiję czarę z ochotą... Poświęcę się z dumą, bo was przekonam, że kochać umiała bez rachuby i pójdę na męczeństwo bez obawy... Zostaw mnie pan ze łzami memi!

Skinęła ręką, prezes odszedł powolnie do pokoju. Spełnił co chciał, a w duszy przykre mu jednak zostawało uczucie; ta kobieta, nad którą chciał panować, z którą sądził się pewien zwycięstwa, zgmiotła go wyższością uczucia i szlachetnością serca, czuł się upokorzonym w obec niej; dopiął czego chciał a bolał, cel tylko osiągnięty pocieszał.

XV.

Trudno wypowiedzieć co się działo w duszy biednej dziewczyny, gdy sama została po tej rozmowie z prezesem; pobiegła na ławkę w altanie, sięść na niej nie mogła, rzuciła się na kolana, głowę zakryła rękami i płakała, płakała gorzko i długo. Ciężka ręka boleści i rozpacz na chwilę uciskując ją, odjęła przytomność, czucie, pamięć, wszystko... nie wiem jak długo byłaby tak pozostała, gdyby szukający jej Aleksy, którego Julian sam wysłał niespokojnie się czegoś domyślając, a wstrzymany będąc przez prezesa, nie nadbiegł i nie przebudził. Podniosła głowę, była prawie nie do poznania: oczy nabrzękle, zaognione, twarz cała w płomieniach... na nogach utrzymać się jej było trudno, staniała się nieprzytomna i osłabła. Aleksy sądził, że nowa jaka scena z Julianem była temu przyczyną, ale unikał zwierzeń i zmieszany udał, że się domyślił tylko choroby.

— Co to pani jest? spytał — głowa?

— Chora jestem, zgadłeś pan, odpowiedziała Pola — chora... nie wiem co mi jest, mam jakieś dreszcze...

I rozśmiała się z za łez, podając mu rączkę białą.

— A! nie śmieć się ze mnie — zawołała... i ty, i ty... mężny rycerzu, co swe serce przykrywasz stałą, żeby bicia jego dostrzedz nie było można; i ty wkrótce może tak jak ja zachorujesz. Oboje, oboje wpadliśmy w świat nie nasz, między ludzi, co niby są nam równi, których uśmiech pociąga, słodycz ośmiela, ręka drży, dusza mówić się zdaje... a którzy z obłoków tylko mówią do nas śmiertelnych i w uścisku rozplływają się... w kroplę błota!! Oboje pokochaliśmy złote posagi! A! potrzeba nam było pozostać w naszej zagrodzie i tam szukać serca i ludzi!

— Ja pani nie rozumiem, rzekł Aleksy — chodźmy, odprowadzę...

— Chodźmy, ale pan mnie rozumiesz, o! nie myśl żeby przed okiem kobiety taka tajemnica, jak twoja, ukryć się miała! Ja także wiem wszystko, ale milczeć umiem.

— Niestety! to wszystko jest — niczem.

— Niczem! bo któżby rachował nasze cierpienie! Słusznie, pociągniemy się darli do nich i podnieśli tak wysoko!... Zasługujemy by nas odepchnięto ze wzgardą; słudzy, powinniśmy byli zostać sługami, sieroty pamiętać na sieroctwo nasze... Czyż między sobą nie natrafilibyśmy na serca i ludzi?

— Co się to stało? na Boga? spytał zatrwożony Aleksy.

— To co jutro będzie z tobą, odparła Pola — jeżeli nie uciekniesz, nie ujdziesz... nie zabijesz w sobie uczu-

cia, które karmisz...

— Zdaje mi się, że moje uczucia są tak niewinne...

— Niewinne! od nas dla nich wszystko jest winą! zbytek przywiązania nawet, nawet ciche poświęcenia. Myśmy powinni być zimną lalką, na ich skinienie posłuszną; ale mieć serce, ale kochać, ale się zbliżyć! o! to grzech, to grzech niedarowany!! My i oni! Bogowie ziemscy i prości śmiertelnicy!!!

Tak ciągle i żywo rozprawiającą Polę Aleksy odprowadził do jej pokoju, dokąd Anna, dowiedziawszy się o jej słabości, zaraz pobiedz chciała, ale ją wstrzymali prezes i matka. Julian, domyślając się czegoś, pozostał jak na zarzących węglach.

Prezes postanowił udawać, że nie wie o niczem, i nie mówić mu ani słowa.

Ledwie wstali od stołu, Julian, który przez cały czas siedział milczący, pochwycił Aleksego i odprowadził go na bok.

— Co jej jest? zapytał.

— Nie wiem, skarży się, że chora...

— Prezes nic z tobą nie mówił..?

— Ani słowa...

— Widzę po nim, że coś wie, czuję że mi będzie przeszkadzał, aleś gotów.

— Zbierz siły i obrachuj, mój Julianie, rzekł Aleksy — życzę ci ich choć nie ufam w nie.

— W tych co się wam słabymi wydają, więcej jest niż w silnych, którzy padają jak dęby od burzy... zegnę się, ale mnie nie złamią.

Aleksy nic nie odpowiedział, prezes zażądał szachów, zawołał Juliana i wesoło się bawiąc od siebie go nie puścił na chwilę.

XVI.

Nazajutrz dopiero ukazała się Pola; Julian na twarzy jej szukał rozwiązania tajemnicy, którą niespokojnie przeczuwał. Spojrzeli na nią ciekawie Julian i Aleksy, ale pomimo zmęczonych trochę oczów, bladej i wyrazu cierpienia, co wszystko z wczorajszej choroby pochodzić mogło, niemożna było po niej poznać wstrząśnienia jakiego doznała. Zdawała się być panią siebie i wyznaczwszy sobie drogę, którą postępować miała, z rezygnacją bohaterską poczyniała krwawą ekspiację za szal, który trwał tak krótko, a taką się miał opłacić boleścią. Julian nie mógł się domyśleć niczego: Pola przyzwyczaiła go była do dziwactw, do smutków bezprzyczynnych, do łez gorzkich zatruwających często krótkie szczęścia godziny, do kaprysów wyobraźni miotającej sercem — sądził więc, że wczorajsza słabość i dzisiejsze smutku ślady spowodowało przybycie prezesa i ostrożność, na którą ją kilkodniowa zapowiedziana bytność w Karlinie skazywała. Zebrała się nawet biedna dziewczyna na żarcik jakiś i śmieszek, prędko przerwany tłumionem westchnieniem, które jeden tylko Aleksy zrozumiał.

— On nie wiedzieć nie powinien, mówiła sobie w duchu — spełnię sama tę ofiarę wielką, całkowicie, tak żeby mu żalu w sercu i zgryzot nie zostawić, żeby wina była moja, a on swobodnym i wolnym. Będę dlań jeszcze czem byłam, dopóty tylko dopóki los nie zeszele tu kogo... na którego bym przez pozorną płochość, miłość moją przelać mogła... Zdradzę go, on mnie zapomni... Lecz żebym się go wyrzekła, trzeba ubarwić od-

stępstwo, pokochać kogoś, kogoś wyznaczonego od losu na ofiarę, wmieszać w tę intrygę i zabić może!! Pierwszy co mi się nawinie... znośny, będzie moim kochankiem! A! to szkaradnie! to okropnie! ale jedna wina ciągnie ich cały szereg za sobą — a to dla niego, któremubym i siebie i świat poświęciła cały!

Takie było postanowienie Poli, oblane łzami, ale niezłomne: nie zmienić nic w swoich stosunkach z Juljanem, nie dać ofierze pozoru nakazanej i wymuszonej, potem udać płochosć, obudzić zazdrość, nareszcie pogardę i uajwiększą z ofiar, oswobodzić tego którego nad życie kochała... Było to poświęcenie nad siły słabej kobiety, ale wielka miłość jest zawsze czemś bohater-skiem; bez tej cechy, szął to tylko poziomy. Upokorzona w oczach ludzi, sierota chciała się podnieść tą ofiarą; szczęście jej wisiało na włosku tylko... ilekroć otwierały się drzwi, poglądała z przerażeniem czy nie ujrzy tego widma przeznaczonego, które jej przynieść miało całun śmierci.

Kto będzie tą ofiarą? myślała i serce jej biło; przełotem myśl jej zastanowiła się na Aleksym, ale ją litość i inne odepchnęło uczucie. — On kocha, rzekła w sobie, szanujemy miłość, świętą, czystą i cicha...

Juljan po kilkakroć usiłował zbliżyć się do Poli, dość nawet nieostrożnie, i przyjęty zwyczajnym uśmiechem, ukradkowem ręki ściśnieniem, uspokojony, niecierpliwie tylko wyglądał wieczora upragnionego. Nie wiedział, że to być miało ostatnie przedpogrzebowe serce wylanie, wśród którego pomiędzy nimi zasiać miała blada tajemnica; że usta co dotąd go poily, tajonem łkaniem i łzami skrytymi żegnać go się przygotowywały.

Prezes z taktem największym udawał, że nie a nie nie widzi; służył nawet za parawan dla drugich, pewien będąc Poli, na której dumę rachował. Jak błyskawica przychodziła mu niekiedy myśl, że miłość, próżność, jakaś chętką zemsty unieść ją może, ale na ten wypadek przygotowywał użycie innych środków. Pułkownikowa nie kryła się ze wstrętem gniewliwym dla sieroty, milcząc spoglądała na nią z oburzeniem widocznym, gotowa była wybuchnąć, szczęściem przytomność Anny wstrzymywała i uratowała od niezręcznego kroku.

Dzień minął dla obcych tak jak zwykle: na twarzach maski były powszednie, nie nie zdradzało tajemnego dramatu, jaki się odgrywał pod chłodną powierzchnią; nadszedł wieczór i wszyscy dość byli radzi, gdy się rozejść mogli. Julian, żeby nie być zmuszonym zostać dłużej z prezesem, poskarżył się na niezdrowie i zapotrzebował spoczynku, odprawił ludzi... przebrał się i jak strzała pobiegł pod znajomą do ogrodu altanę. Pola się trochę spóźniła, postrzegł ją idącą powoli; szła jak skazany na stracenie, a za nią leciało straszne słowo, najstraszniejszy wyrok na ziemi. — Na zawsze... Julian w ulicy schwycił ją i przycisnął do serca.

— A! nareszcie! zawołał... ty nie wiesz com wycierpiał!

Pola uśmiechuła się smutnie, wieszając na jego ramieniu.

— Mój drogi, rzekła — nie mówmy o cierpieniu, nie trujmy ani wczorajszem ani jutrzejszem tego co nam Bóg dał tak mańuczko...

I żal odjął jej mowę.

— Tyś smutna? rzekł Julian — co ci jest?

— Nic, smutek jest gościem niespodzianym, który

nas i w szczęściu nawiedza, któż wie zkąd przychodzi, i jaki go anioł na skrzydłach z sobą unosi?? Smutna jestem, bo im dłużej żyję, tem mniej wierzę w siebie, w ciebie i świat cały.

— We mnie? z wymówką zapytał Karliński — we mnie?

— A! i w ciebie!

— Polo! nie trujże ty mi tego krótkiego wieczora.

— Prawda, nie mówmy o niczem smutnem... chwile drogie, a jutro Bóg wie tylko! straszne jutro.—Wzdrygnęła się.

— Jak ci się zdaje? czy prezes się czego domyśla? niespokojnie pochwycił Julian.

— Nie wiem, i nie zdaje mi się... ale pułkownikowa...

— O! ja matki pewien jestem... a prezes — dodał ciszej — możebym i chciał, żeby się sam dorozumiał trochę...

— Tak! bo ty nie będziesz mu miał odwagi wyznać, żeś zszedł tak nisko? nieprawdaż?? z boleścią wymówiła Pola całując go w głowę... Słaby mój anioł! słaby! a tu by tyle siły potrzeba! nie jednego prezesa, nie jedną matkę, nie siostrę, ale pół świata, cały wasz świat mając do zwalczenia, jakżebyś ty temu podołał?

Julian się zawstydził, serce mu biło.

— Zawsze mi słabość wymawiasz... ale się przekonasz...

— Cicho! odpowiedziała tuląc go do siebie sierota — cicho! nie chcę się przekonywać, sto razy mówiłam ci, że nasza miłość nie ma nic przed sobą i nie narazi na inną walkę prócz z sercem i natrętną pamięcią... po co wznawiać te pytania i zakłęcia... jesteś wolny jak ptak,

a gdy ci się sprzykrzy uścisk niewolnicy, odepchniesz ją od siebie... i nie zobaczysz jej więcej...

Rozmawiali tak długo, a rozmowa ta choć nieustannie zrywała się ku swobodzie i weselu, spadała co chwila w smutek i zwątpienie; ciążyło na niej czarne jakieś przecucie, atmosfera nadchodzących wypadków. Pola i Julian chodzili długo po pustym ogrodzie i pierwsze brzaski jutrzeńki, pierwsze szczebiotanie rozbudzonych nią ptasząt, rozłączyło ich jak Julję i Romea... nienasyconych sobą, tęsknych, smutnych, bolejących... Żegnali się i przeprowadzali z ulicy na ulicę, dalej jeszcze, jeszcze dalej, tak, że Pola weszła aż na próg pokoju Juliana, tu łzy ją schwyciły i kryjąc je uciekła...

XVII.

— Długo to potrwa? mówiło w duchu nazajutrz biedne dziewczę — a! niech trwa choć dzień jeszcze, choć godzinę, tak ciężko będzie rozstać się ze szczęściem i począć pokutę!!

Los chciał skrócić męczarnie i przyspieszyć rozwiązanie. Tegoż dnia wpędził przeznaczoną na rzeź ofiarę do Karlina. Otwarły się drzwi niespodzianie i Pola błędniejąc postrzegła wchodzącego ze spokojem i uśmiechem pogodnym na twarzy, poetę Justyna, który pieszo, o kiju, z książką pod pachą, z wielką leśnych kwiatów wiązką, w słomianym kapeluszu, przychodził po dole swoją... Przynosił on ukłony wszystkim od pana Atanazego, i ze zwykłą swoją obojętnością na zwyczaje i przyzwoitości, którym się nie kłaniał nigdy, w szarej sukni, w prostej odzieży, ale z sercem prostoty i dobroci pełnem zasiadł wśród towarzystwa, ocierając pot

z uznojonego czoła, i rozpatrując się w otaczających go twarzach z naiwnością dziecięcia.

Pola zadrżała, czuła że on był tą istotą, która jej zamknąć miała wrota szczęścia... i uczuła zarazem trochę gniewu, a potem trochę litości.

— Za coż on cierpieć będzie? zawołała w duchu — za co pokój jego zamąca i życie zatruję? za co jad mój jak gadzina do serca jego przelać muszę? I to czoło spokojne zajdzie tęsknotą wiekuistą, i serce przestanie wierzyć, a usta śmiać się światu Bożemu??

Dla czegożby nie cierpiał? podchwyciła z ironią gorzką — a ja! a ja wściekam się, umieram, szaleję i będę go łałować! Niech cierpi! z rokoszą napiję się jego bólów!! Ułudzę go, przyciągnę, opaszę urokiem, nie potrafi mi się wyrwać... śmiał się ze mnie, będzie dla mnie płakał. Niech cierpi on i świat cały!

I gdy tak mierzyła go oczyma z kolei gniewem niezrozumianym, to politowaniem się unosząc... poeta spoczywał spokojny jak dziecko w kolebce, po kilku dniach powolnej przechadzki, która go przywiodła do Karlina. Aleksy zadziwiał się jego obojętności z jaką obcy strojem, mową, zajęciem, sposobem pojmowania świata, tym wśród których się znajdował, bynajmniej nie usiłując zastosować się do nich, ani uznając niższym dla tego że był innym, z swobodą dzikiego dziecka ludu obracał się w salonie dla którego był anomalią krzyżującą.

Prezes, który tej oryginalnej postaci ocenić nie umiał, a brzydził się jej wieśniaczą powierzchownością, doznawał przykrego uczucia jakby dotykał czegoś kolącego i szorstkiego; inne osoby niemniej może drażnione przez gościa, który rzadko tu się pokazywał, znosiły go lepiej

dla stryja Atanazego... On, jakby nie widział i nie domyślał się nawet jakie zrobić może wrażenie, nie oglądał się na drugich; był sobą nie troszcząc się o to jak się pokaże.

— A rokoszną miałem podróż z Szury do Karlina, zaczął głośno obracając się do Juljana i Aleksego — co to wiosną, pieszo, swobodnemu człowiekowi iść tak gdzie oczy i serce ciągną... Naprzód w tej puszczy mojej... ile co chwila widoków różnych wstrzymywały mnie, i godzinami więziły na jednym miejscu... Lasy, kwiaty, gra słonecznych promieni, głosy wiatru i głębin boru... zapachy tajemnicze, tysiące kwiatów rozkwitłych... motylów tysiące... ptastwo... zwierzęta... obrazy i obrazy bez końca. A! wielki to malarz natura... Stałem godzinę na drodze patrząc na jedną łączkę w lesie, na której stare olchy rosły, żółte kwitły łotocie, pasło się bydelko i pastuszek grał na ligawce... Potem wstrzymał mnie stary żebrak, któremu towarzyszyłem do pierwszej wsi gawędząc po bratersku... We wsi mam znajomego parobczaka, który mi śpiewa piosenki osobliwsze! zasiedziałem się u niego na przyźbie... dalej szukałem jak najkrętszej drogi... żeby iść jak najdłużej i naoddychać się wiosną... i nacieszyć się kwiatkami...

Prezes ledwie ze śmiechu nie parsknął, Pola rzuciła figlarnie wymówkę pocie.

— Przyznaj pan jednak, że mu wcale do nas pilno nie było, kiedyś tak szukał jak najdalszej drogi?

— Pilno? zapewne, że nie,— rzekł Justyn — miło mi widzieć państwa, ale zimą czy latem zawszem pewien, że ten salon zastanę jakim porzucił.. nie mi tu nie uciecze, gdy wiosna i Boży świat malowany tak się mieni... tak cudnie urozmaica... i tyle mi mówi rzeczy...

— Których my nie potrafimy, dodała Anna śmiejąc się.

— Zapewne że nie, boście się państwo dobrowolnie wyrzekli tego co natchnąć was mogło, zamknięci w klatce, roztargnionem okiem patrząc na naturę, i to jeszcze przez waszego ogrodnika ufryzowaną i podstrzyżoną, żeby się wam uczciwie zaprezentować mogła... Mówicie tylko to co z suchej czerpiecie książki, lub jedni z drugich... nie zdaje mi się, żeby to było co nowego lub bardzo ciekawego.

Prezes się trochę obraził tonem przybysza.

— Ależ mój panie, rzekł z dumą, jeśli chcesz być logicznym, to i w naturze która się co rok powtarza nie tak bardzo nowego nie znajdziesz.

— Przepraszam pana, natura co rok jest nową, ludzie co na nią nie patrzą, co roku starsi się stają... ona umie połączyć z jednostajnością pozorną różnorodność niezrównaną... ona się nie wyczerpuje, ludzie niestety! z siebie tylko biorąc, wkrótce nie mają się czem pożywić...

— Nie będę się z panem spierał, to nie warto, odpowiedział Karliński, ale dziękuję za komplement...

— Ja komplementów mówić nie zwykłem, rzekł uśmiechając się Justyn — żyję z naturą, ludem, poezją i sercem, żli to nauczyciele grzeczności...

— To zależy od ucznia... szepnął wychodząc i ruszając ramionami prezes...

Juljanowi przykro się zrobiło, że takim tonem przyjeżdżał do niego, przyszedł do niego, siadł przy nim i uściśnął jego rękę; na twarzy poety nie widać było śladu, żeby go przycinki prezesa obeszły nawet...

- Anna, która go lubiła, bo jej przynosił z sobą woń

świętego stryja (tak go nazywała), zbliżyła się także z nśmiechem.

— Nie gniewaj się pan, szepnęła — my pana rozumiemy i kochamy...

— A! nie myślcie o tem, żywo zawołał Justyn — żał mi tych co inaczej i gorzej świat pojmują i życie, ale możeż im zabronić wyboru, gdy sam swobodnym być pragnę?

Pola wciąż nań patrzyła z daleka, jakby wahała się przystąpić do niego, rozpocząć dramat i chmurą powlec pogodę jasnego czoła, którego dotąd żadna nie zmarszczyła troska; oczy jej mierzyły przeciwnika i ważyły może trudność przedsięwzięcia...

— A jeśli on wieszczym duchem pozna kłamaną miłość i odepchnie? Zawsze Julian mną wzgardzi... tak lepiejby było, na mnie jednej skończyłoby się wszystko... Szydziłam z niego dawniej trochę, teraz on szydzić będzie ze mnie... Nie! nie chcę przypuszczać, że mi uwierzy i pokocha... za jego pocziwą miłość cóżbym mu dała prócz zimnego poświecenia.

Gorączkowe marzenia przebiegały główkę dziewczęcia, Justyn tymczasem z błogim spokojem odpowiadał na zapytania Juliana i Aleksiego.

— Jak ty możesz żyć takim życiem? pytał go Karliński — poeta, powinienesz szukać współczucia i słuchaczy, wieńców i sławy!

— Złym czy dobrym, ale tak dalece jestem poetą, że by nim być, niczyjej nie potrzebuję pomocy, odparł Justyn — świat Boży, serce własne, pieśni stare, wszystko co piękne i święte — to moje źródła, u których się napawam, i tak jestem szczęśliwy, że mógłbym wyzwąć los śmiało, a nie potrafiłby zakłócić pogody mojej duszy.

Na te słowa wyrzeczone tak dziwnie w chwili, gdy właśnie szczęściu jego zagrażało największe niebezpieczeństwo, Pola wstrząsała się i zabobonnie uznała się za narzędzie mściwego przeznaczenia.

— Zobaczymy, rzekła w duchu — zobaczymy, biedny zuchwalcze...

— Nigdy sobie nie wystawiał pełniejszego i szczęśliwszego życia nad moje, podchwycił Justyn. — Poezja, ten szósty, a raczej jedyny zmysł, którym pojmujemy i wiążem wszystko dla ogółu rozpierzchnione i niepojęte, jest wodą żywiącą naszych bajek, karmi, poi, wskrzesza i czyni nieśmiertelnym... Nikomu nie zazdroszczę niczego i śmieję się z waszej wielkości, bogactwa, znaczenia, które mi się wydają dziecinnymi zabawkami niedorosłego pokolenia... Was wszystko przeraża i niepokoi, ja przechodzień, obojętnie na to patrzę... mój wielki poemat, to moje wszystko... chwila natchnienia płaci mi lata odretwiących marzeń, widok czegoś pięknego zachwyca mnie i czyni nieczułym na najdokuczliwsze bole... Mam więcej jedną władzę nad was, co tysiące rzeczy więcej macie nademnie, ale ta jedna nagradza sowiec niedostatek wszystkiego.

— Poemat, zawołała Pola — pan piszesz poemat? już być przecie musi skończony od czasu jak o nim słyszymy?

— Skończę go z życiem chyba, odpowiedział poeta — pojąłem go olbrzymim, potężnym; ażeby mu podołał, cały poświęcić mu się muszę... Wszędzie szukam do niego materiałów rozrzuconych... w tradycjach ludu czerpię pojęcie czasów prastarych, odgaduję świat, po którym jako po przedpotopowej naturze zostały tylko kości i wyciski na kamieniach... po słówku zbieram te

całość, serce mi bije do każdego obrazu, do każdej wskrzeszonej postaci, ale koniec daleki!

— Jakto? i ludziom ciekawym nigdy pan nie dasz skosztować tej poezji tak po macierzyńku wykarmionej twem życiem? — spytała Pola.

— Domyslasz się pani, rzekł poeta, że moja pieśń nie z dzisiejszych jest czasów; śpiew to epoki umarłej... mogliżbyście mnie zrozumieć? uwierzyliżbyście, że ten, z którego się śmiejecie, miał dar wieszczcy przeszłości? Nie... żywy poeta zabiłby dziecię swoje... Gdy ja umrę, gdy imię zagaśnie, pieśń dopiero polecą swobodna, bezimienna, wielka, jak natchnienie ducha Bożego, jak rapsod Homera, i ludzie wówczas lepiej ją pojmą, bo po za nią nie będzie człowieka, przez którego usta się przelała... bo rozbite zostanie gliniane, proste naczynie, w którym był nektar boski...

Słowa te wyrzeczone z jakąś dumą naiwną, byłyby może w innych śmiech szyderski wzbudziły, w Poli i Aleksym wzniciły tylko poszanowanie i zdziwienie... Potrzeba było w istocie wielkiej siły wewnętrznej, by się poświęcić dziełu takiemu bez współczucia, bez nadziei oklasków, bez żadnej idei nagrody duchowej nawet, a siła ta dawała miarę człowieka. Justyn wśród nich, mimo swej powierzchowności, wyglądał jak postać przeniesiona z innego świata i wieku; spokój wiał od niego, a uśmiech dziecięcy przelatywał po wargach namaszczonych natchnieniem... Poli żał się go zrobiło.

— Nie! on kochać nie potrafi, nie będzie; on jak Anna kocha świat cały, ludzkość, przeszłość, naturę, słońce, kwiaty; ale jednej, ułomnej, biednej nie pokocha istoty! Tak, lepiej! nie uczynię go nieszczęśliwym, bo się nie odwróci do mnie... zbyt jest wielki i serce

jego rozlało się oceanem po światach. Jestem spokojna!... Wiedział los, kogo mi zesłać, by mi zgryzoty oszczędzić!...

XVIII.

Pola poświęciła się raz powziętej myśli oswobodzenia Juliana... z razu niby dawne przedłużając żarty z poety, zbliżała się do niego powoli, nie nagle oderwała się od Karlińskiego; ale Julian, którego zazdrość wybuchwała najczęściej bez przyczyny, wprędce postrzegł, że Pola coraz więcej, coraz czulej i poufalej była z poetą... Powiedział jej to chmurny, rozśmiała się boleśnie.

— Chciałabym, żebyś był zazdrosny, odparła, toby mi dowiodło, że mnie kochasz...

— Czyż potrzebujesz dowodów?

— Co dzień nowych... gdyśmy razem, gdy cię trzymam przykutego uściskiem... tyś mój; gdy odchodzisz... czuję obcego, który się tylko zniżył na chwilę... do niewolnicy... lecz stara Sara prędzej później wygna biedną Agarę...

Juljan się zarumienił.

— Wiesz co, rzekł, weźmy się za ręce, idźmy śmiało do prezesa, do matki, powiedzmy im wszystko... skończmy raz i wybrnijmy z tego nieznośnego położenia...

Pola uśmiechnęła się, ruszając ramionami.

— Na to nie będziesz mieć siły, odparła — zresztą ja cię kocham, ale nie pójdę za ciebie; nazajutrz po ślubie moja szczerą miłość wydałaby ci się rachubą, nie potrafiłbyś się tej myśli obronić... Za pierwszą chmurką na czole, z pierwszym uczuciem znużenia, wątpliwość

ucisnęłaby ci serce... Nie! Chcę byś mi wierzył i dla tego nie będę twoją żoną; mogłam być kochanką tylko...

Pola zapominała się tak chwilami, ale wprędce oprzytomniając wracała do zadania, zbliżała się do Justyna, udawała zajętą nim i jego poezją, widocznie dając mu pierwszeństwo...

Justyn, który zawsze wprzód widywał ją dowcipną, wesołą, szyderską, ale nie poetyczną, poznać jej nie mógł i długo podejrzewał, w zapale jaki udawała, szukając tylko formy nowej, łartu i ironji. Dusza jego nie nawykła do sceptycyzmu i analizowania, wytrwać wszakże w tem niedowiarstwie nie mogła: poddał się urokowi dziewczęcia, które cudownie go pojmowało i pierwszy raz może spotykając sympatję gorętszą, uśmiechnął się do niej jak podróżny do drzewa, pod którego cieniem chwilę mu tylko odpocząć wolno. Pola była dlań jakby nową istotą... nie mógł pogodzić wczorajszą z dzisiejszą.

— Powiedz mi pani, spytał ją otwarcie, która z was dwóch prawdziwa, czy ta co jest, czy ta co była?

— Obiedwie, uśmiechając się odparła Pola — pan nie znasz kobiety?... w każdej z nas jest kilka odmiennych, które występują z kolei, najuboższa ma przynajmniej trzy twarze na zawołanie.

— Być może... być może... ale tak rychło się odmienić?

— Jak się też panu zdaje, dorzuciło dziewczę — gdy widzisz łzę i uśmiech, któremu z dwojga wierzysz więcej?

— Łzie, odpowiedział poeta...

Zamilkli. Justyn się zamyślił.

Juljan co dzień mocniej czuł na tej płochości Poli, która z sercem rozdartem, boleść jego podbudzać mu-

siała wówczas, gdy ją najbardziej ukoić pragnęła...

Nazajutrz nie mówili do siebie. Pola chodziła po ogrodzie z poetą, słuchając jego opowiadań o wielkim homerycznym poemacie sławiańskim... drażniąc go i z litością podając lekarstwo na chorobę, którą szczepiła. A! zaprawdę dziwny tam dramat odgrywał się między nimi: w jednym budziło się serce dotąd bijące tylko do mar przeszłości; w drugiej na przemiany przechodziły najsprzeczniesze uczucia, litości nad poetą, to znowu jakaś chętka sprobowania swej siły, i rozpacz z utraty Juljana, i postanowienie stracenia go, i namiętne zwracanie się ku niemu. Pola miała wolę, ale sił co chwila nie stawało; stale jednak powoli kierowała się do wskazanego jej celu. Juljan zrazu wziął to za dzieciństwo, potem za próbę swej stałości, i trzeciego dnia przyprowadzony do rozpaczyny wpadł późno do pokoju Poli chcąc jej do nóg upaść, przeprosić, przyjąć jakieby mu podała warunki, i wrócić do spokojnych wieczorów w ogrodowej altanie... Zastał ją na klęczkach przy łożku, oblaną łzami, zlaną, zmienioną do niepoznania; rozsypane długie włosy spadały jej na ramiona, z ramion na ziemię i przypominały jakby pokutującą Magdalenę... drobne rączki ścisnęła konwulsyjnie, a usta zaciete nie dopuszczały tylko dobyć się jękom z piersi uciśnionej.

Juljan stanął we drzwiach; zobaczywszy go Pola, musiała się zdobyć na siłę nadludzką, by mu się na szyję nie rzucić, tak był blady, zmieniony, drżący i tak widocznie zbolący; wstała narzucając na siebie chustkę, która z ramion jej spadła, i w milczeniu wskazała mu, żeby wyszedł...

— Przyjdiesz? — zapytał niespokojny Karliński.

— Idę z tobą, odpowiedziała Pola.

Milczący wyszli oboje do ogrodu; Julian chciał ją pociągnąć ku znanej altanie, ale sierota bała się tego miejsca gorącego wspomnieniami.

— Nie! zostaliśmy tu, zawołała stanowczo — kilka słów tylko mamy do siebie...

— Polo, na Boga, na wszystko zaklinam cię, wytłumacz mi co to jest? co się stało? Ty kochasz Justyna? ty mnie odrzucasz? czy tylko neliłościwe robisz próby?

— Ja sama nie wiem kogo kocham i co robię, pozwolnie wyjąknęła kobieta... szczęście nasze prysło jak rosy kropla... wsiękło w ziemię... na zawsze... nie szukajmy go, nie wróci...

— Ale ja cię kocham, na wieki! ja dla ciebie poświęcę wszystko... zawołał Julian z zapamię, usiłując się zbliżyć do niej. Lekko drżącą odrzuciła go ręką.

— Mówiłam ci... połączyć się nie możemy... za daleko stoim od siebie... miłość nas związała... los rozdzieli... nie dziś, jutro... rozstałmy się, póki to uczynić możemy bez wyrzutów i wzgardy...

Spokojny i łagodny dotąd Julian pierwszy raz wybuchnął...

— Któż ty jesteś? zawołał z goryczą — zwodnica, co wysysa z kielicha kwiatu kroplę słodczy i idzie dalej po ten sam pokarm z pieśnią i uśmiechem? Trzeba ci nowego napoju? Przyciągasz, przywiązujesz, pętasz, a gdyś jak zbójca odebrała co kto ma najdroższego, rzucasz jak zbójca nagiego na gościńcu na łaskę i litość przechodzących? Jam był spokojny! kochałem cię i przewyciężyłbym miłość, uciekłbym od niej, pokonał siebie, gdybyś mnie nie przykuła do siebie uściskiem!

Jakiem prawem zatruwszy mi życie, pić nie chcesz z tego kielicha, któryś nalała? Ty nie masz prawa do tego! tyś moja!

— Jam wolna, odparła Pola — przypomnij Julianie, nigdy ci nie przyrzekała ofiary mojej dumy... nigdy nie powiedziała, chcę być twoją przed ołtarzem i ludźmi; kiedyś mi to obiecywał, śmiałam się z ciebie... bo to być nie mogło...

— To być musi...

— Nie!

— Tyś przestała mnie kochać?... krzyknął Julian...

Pola spuściła oczy i zamilkła.

— Tak jest, ja to widzę — dodał Julian... to obłąkanie; ale to być nie może, tyś mi potrzebna, ja bez ciebie żyć nie potrafię.

Bóg wie co się działo w zburzonym sercu dziewczyny, która uciekać chciała, czując, że się wyda, taką namiętnością i bólem pierś jej wzbierała... nie była panią siebie, słabła... szczęściem, Julian przywiedziony do rozpacz, zamiast usiłować ją zmiękczyć, szydzić począł...

— Tyś nigdy kochać nie umiała... jam był zawsze ofiarą... potrzebnym ci był tylko, ażebyś na mnie wyuczyła się uczucia, które przeznaczałaś dla innych... Dziś po mnie przychodzi drugi, trzeci, dziesięciu... tyś upiór nie kobieta! tyś zimne stworzenie, bez serca, z płomieniem w głowie...

Nie mogąc znieść wymówek dłużej, Pola zachwiała się, zadrżała, skupiła resztkę sił i uciekła... Julian powrócił pomieszany do pokoju, ale samotności znieść nie mogąc, pobiegł do Aleksego.

Po twarzy jego poznał biedny przyjaciel, co się

działo w duszy słabego Juliana, który przebywał kryzys, jak wszyscy bezsilni, miotając się i zużywając energii resztę na krótko-trwałą rozpacz.

— Co ci jest? zapytał niespokojnie...

— Umieram! rzekł Karliński. — Pola! Pola mnie zabiła... ja jej gotów byłem poświęcić wszystko... ona mnie nie kocha... ona mnie odpycha — ja jej nie rozumiem... radź i ratuj...

— Kochany Julianie, rzekł z boleścią patrząc na niego Aleksy — dawno już narzucałem się z moją radą, nie chciałeś jej; później powiedziałeś mi sam, że cofnąć się już nie pora... widziałem niebezpieczeństwo położenia twego, ale mogłem co na nie?? Wpadłeś w otchłań, w powikłania bez końca; nie umiem przewidzieć nawet, jak z tego wybrniesz cało... pozwól, bym już i nadał nie miał w tem udziału!...

— Jakto? opuszczasz przyjaciela w niebezpieczeństwie? Aleksy!! ja cię nie poznaję!

— Słuchaj, odparł Drabicki — ja w jeden sposób tylko rozumiem miłość: albo świętą, cichą i zrezygnowaną bez nadziei, lub śmiało idącą do celu, to jest przed ołtarz. Mówiłeś mi, że się chcesz z nią żenić... żeń się, nic nad to nie pozostaje...

— Ona mnie odpycha...

— Na to nie widzę ratunku.

— Ja pojąć tego nie mogę... trzeba żebyś ją wyba-
dał... coś jest w tem, przeczuwam jakąś zdradę... in-
trygę! szalbierstwo!

Aleksy umilkł.

— Najgorzejbyś wyszedł używając mnie za pośrednika, dodał po chwili — ty tylko sam prawdę z niej wyba-
dać możesz; w innym razie wszelką pomoc i ofiarę

z mojej strony masz gotową... Nie będę ci tań, że chcąc się żenić z Polą, nietylko w matce i prezesie znajdziesz przeciwników, ale w pannu Ałanazym, w pannie Annie, w całej rodzinie, która rychlej tę nieszczęśliwą Polę zaszle gdzie, poświęci... niżeli kiedykolwiek na to pozwoli... Zbierz swoje siły i gotuj się do walki, do odosobnienia i na życie pracy i ubóstwa...

— Dla nas dwojga będziemy mieli aż nadto... Karlin.:

— W takim razie, odparł Aleksy — rachuj nie na Karlin cały, jakieś przywykł, ale na część, jaka ci z niego wypadnie po Emilu i po Annie, równy z tobą udział mającej... Na tej części trzeciej zostaną ci jeszcze długi...

Juljan spojrział wzrokiem omdlonym.

— Ubóstwa się nie boję...

— Ale trzeba, żebyś dobrze wiedział, co cię czeka... Dotąd pieśczone wszystkich dziecię, zostaniesz odepchnięty przez wszystkich...!

— Przez Annę! to być nie może...

— Serca panny Anny jestem pewien, bo to serce anielskie, ale że twojej miłości nie pojmie, to ci z góry przepowiadam... ona sama nie kochała nigdy...

— Niech się stanie co chce... pomóż mi! Ja sam wybadam Polę... przybycie tego szaleńca Justyna nie wiem czemu głowę jej zawróciło; odrzyl ją tą swoją poezją... może chce obudzić tylko zazdrość we mnie? nie wiem! Ale potrzeba to skończyć... gotów jestem na wszystko, umówimy księdza, wezmę ślub potajemnie, i oświadczę to potem matce i stryjom, muszą zezwolić!

— Powiadasz mi, że Pola nie chce?

— Nie przypuszczam jeszcze, żeby była szczerą, musi się zgodzić; ona mnie kochała, ona mnie kocha, a ja

za nią szaleje... ja bez niej umrę!...

I biedny Julian rozplakał się... padając na krzesło.

Pola w swoim pokoju, leżąc twarzą na pościeli, płakała także łzami gorzkiemi, i przebywszy jeden z tych dni ciężkich, musiała się gotować na następny, podwojonych doznając męczarni; odgrywała jednak swoją rolę z gorączkowym jakimś zapalem, a prezes patrzący z boku, uczuł się przejęty tem poświęceniem, choć rzadko mu się trafiało boleścią z kim podzielić.

Justyn, który w życiu marzył o wielu, a żadnej nie miał kochanki, którego miłość błakała się po twarzach wieśniaczych, zbierając rysy ideału, żyjący dotąd z poezją, z sercem własnem i naturą, z razu nie dowierzając, bojaźliwie poglądał na Polę, obawiał się szyderstwa, podejrzewał ją; ale gdy w jej oczach błysk dzikiego jakiegoś schwytał ognia, gdy wreszcie omylić się nie mógł na słowach, któremi go karmiła, uczuł, jakby mu nowa przybyła władza i ze świata ostatnia spadała zasłona...

Pola z przerażeniem i politowaniem poznała miłość rodzącą się w jego sercu i zastygłą ze strachu... dotąd łudziła się nadzieją, że sama padnie ofiarą. Justyn z razu się spieszył z powrotem i tęsknił za samotnością i ciszą; potem został w Karlinie chętnie i począł szukać Poli, patrzeć na nią, uśmiechać się do niej. Miłość jego była naiwną i prostą jak on sam; ani się z nią tait, ani ją powiększał, okazywał ją całą nie wstydząc się, tak, że postęp tego uczucia można było czytać z jego ust i oczów.

Julian, skrepowany przytomnością prezesa, patrzył na to, wyrzutami karmiąc nieszczęśliwą Polę, z zawzięcią poglądając na poetę... Ilekroć chciał się zbliżyć do

dziewczęcia, dawna kochanka unikała od niego, siadała przy Justynie i poczyniała dziwną rozmowę o poezji i przeszłości, unosząc się nad ulubieńcem, który w ogniu jej oczów obłąkanych, czerpał w istocie siłę nieznana samemu sobie, i podnosił się nad spokojną sferę, w której żył dotąd, do wyższej i jaśniejszej. Opowiadał jej, czytał, spowiadał się ze swych marzeń i dzielił najtajniejszymi myślami. Pola była jak na żarzących węglach: nigdy może tyle łez i uśmiechów nie zmięszwały się na jej ustach i oczach co dzisiaj. Miłość w sercu dziewczem poety była, jak iskra na stosie suchym, zwiastunką pożaru, jeden powiew go rozżarzył. Justyn nie poznawał siebie, żył w gorączce.

Kilka tych dui niedających się opisać szczegółowie, których Aleksy był świadkiem zdaleka, zwróciły wreszcie i obojętne oko Anny, która nie należała do dramatu i udziału w nim mieć nie mogła; stan niezwyčajny Juliana, rozdrażnienie Poli, egzaltacja Justyna, ciągła baczność, jaką na nich troje zwracał prezes, i ją niepokoić zaczęły.

— Co się to dzieje? spytała się sama siebie... biedny Julian cierpi? co mu jest? Zdało się jej rzeczą najprostsza spytać o to Aleksego, ale Drabicki nie umiał, nie mógł jej odpowiedzieć.

— Zdaje mi się, rzekł, że Julianowi to jednostajne życie karlińskie nie służy: potrzebuje rozrywki, przejażdżki, odmiany. Justyn jako poeta, pokochał może pannę Apollonję... a ona...

— Uważałeś pan, jak ona jest inną od niejakiego czasu? — spytała Anna.

— Istotnie... może to skłonność wzajemna!

— A! jakżeby to ślicznie było! rozśmiała się Anna

radośnie! Z Polą byłby szczęśliwy, onaby go pojęła, ona tak jest poetyczną! Wiem, że stryj Atanazy temu ulubionemu wychowawcowi swojemu przeznacza ładną wieś nie daleko Szury, mybyśmy coś mogli zrobić dla Poli...

— Ale to wszystko domysły tylko, rzekł Aleksy wzdychając — zobaczymy jeszcze...

— Ja jestem pewna, żeśmy odgadli... tak się cieszę losem Poli; biedna sierota, jej tak było trudno znaleźć partję, kogoś, coby ją zrozumiał... tylu młodych zraziłoby się jej pochodzeniem!

Aleksy się uśmiechnął.

— O! pan jesteś demokratą, przerwała Anna — zła-pawszy ten uśmiech... i masz pan słuszość może; ale stare przesady są jak stare choroby, niepodobne do wy-leczenia: można je złagodzić, niepodobna się ich pozbyć...

Anna wesola odeszła od Alekszego... w głowie już może rojąc o wyprawie dla przyjaciółki i jej przyszłym gospodarstwie.

Trzej młodzi ludzie zeszli się u Juliana, Justyn siedział zadumany, Aleksy był smutny, Karliński niespokojny i zgryziony; kilka razy zmierzył okiem współza-wodnika i ruszywszy ramionami, zawołał:

— Co tam marzysz Justynie, nowy poemat czy nowe życie?

— Oboje, rzekł Poddubiniec.

— Przyznaj, że się kochasz...

— Nie spodziewam się, żeby kogo lub mnie miłość moja zawstydzić mogła; przyznaję się chętnie... Kocham.

— Polę? zapytał Julian stojąc naprzeciw niego i rwąc chustkę, którą trzymał w rękach.

— Zgadłeś, rzekł poeta — szalenie.

— Zkądże ci to przyszło?

— Powiedz mi, zkąd to zwykle przychodzi? jedną miłość Pan Bóg zsyła, drugę szatan gotuje w kociolku, ja nie wiem, jaką mi w serce wlano...

— Ale kochasz!

— Jak szalony i pierwszy raz w życiu...

— A oua?

Justyn podniósł oczy na niego...

— Ty mi powiedz, rzekł — bo ja nie wiem, obcych oczy lepiej widzą niż własne...

Juljan się rozśmiał gorzko.

— Ona! jak wszystkie kobiety, póty cię kochać będzie, póki u nog nie położy; gdy zwiąże, gdy siłę odbierze, gdy ci, jak Samsonowi, włos ostrzyże, i odda w ręce siepaczy, obróci się do drugiego... Justynie, gra to niebezpieczna! strzeż się, serce się łatwo daje, ale nie odbiera całe, zawsze w niem potem czegoś zabraknie! Jak dzieci zabawki, te panie połamane oddają serca, które im powierzono...

— Wieleś razy kochał, był kochany i zdradzony? zapytał Poddubiniec...

— Raz dosyć by pamiętać na zawsze...

— Ale nie żeby sądzić o wszystkich...

— Ty się nie lękasz?

— Ja! nie! zawołał poeta... dla mnie poezja jak miłość są skarbami, których zbyt drogo opłacić nie można. One się same sobą oplacają... Jako poeta, nie potrzebuję sławy, mam uczucie piękna i pociechę tworzenia, to oboje mi wystarcza; jako kochanek mam miłość moją co mnie podnosi, uzacnia i upaja... Prześladowany i wyśmiany, pieśnią moją się karmię i zmysłem jaki mi Bóg dał do pojmovania swego świata... zapomniany, z ziemskiej istoty co mnie porzuciła, wy-

ciosam ideał, postawię go w duszy i przez życie całe będę mu się modlił... wspomnienie da technienie i życie tej Galatei...

— Jesteś uparty jak poeta! rzekł Karliński, nie ma na ciebie sposobu... ale zkaż-że ci się przyszło zachacać w ptaszku którego szczebiotanie tak ci się dawniej przykrzyło?...

— Nie zdarzyło ci się kiedy — odparł spokojnie Justyn, sto razy przechodzić po parku zamkowym i minąć sto razy widok, który w danej godzinie dopiero zastanowi cię, uderzy i wyda się nieporównanego wdzięku? Tak bywa i z ludźmi... zasłona spada co kryje blask ich twarzy, jedno słowo objawia ci brata, siostrę i z obcych stajemy się na wieki nierozłączonymi...

Juljan zaśpiewał coś niewyraźnie i wybiegł do ogrodu; zdaleka postrzegł przechodzącą Polę, rzucił Aleksego z poetą, a sam poleciał za nią. Pola idąca powoli ani się postrzegła, jak ją dogonił Karliński, którego twarz i oczy ogniem pałały; krzyknęła ujrawszy go... drżał cały.

— Na miłość Boga! — zawołał — wybaw mnie z szalu który mną owładnął! co się ze mną, co się z nami dzieje. Polo! miej litość, nie uwodź mnie i zabij od razu... Czy mi się śniło, że byłem przez ciebie ukochanym i wybranym! czy mi się śni żeś dziś wybrała i ukochała innego?

— Panie Juljanie, odpowiedziała sierota, dawniej nie rozumiałeś mnie często, ja ciebie dziś nie rozumiem... Możesz-że mi zabronić iść gdzie zechcę...

— Tyś była moją?

— Ale nie przyrzekła być nią na zawsze... wiedziałam, że rozstać się musimy...

Mówiąc to łzę miała w oku...

— Tak! i zaczynając kochać, przewidywałaś już że przestaniesz, gorzko odezwał się Julian... a! wyście wszystkie Lokusty! wyście wszystkie...

Tu powstrzymał wyraz na ustach, ujrawszy jak Pola której wargi się ścięły, płakała, niema i zrezygnowana na wszystko, nawet na obelgi; łzy wróciły mu nadzieję, pochwycił ją za rękę i uczuł jak zadrżała wyrwając się z jego dłoni.

— Polo! najdroższa moja! aniele! żebrzę, proszę, modłę się, wytłumacz mi to... próbujesz mnie, czy nie kochasz...

— Nie kocham... odparła zdobywając na siłę nieszczęśliwa — nie kocham... oboje omyliliśmy się Julianie... ja długo wytrwać nie umiem... i ty prędko zapomnisz... została nam przeszłość... zabądźmy czem byliśmy dla siebie... a! proszę cię tylko o jedno, nie gardź mną i nie przeklinaj! miej trochę litości! trochę litości! Julianie!! a Bóg ją mieć będzie nad tobą!

Mówiąc te słowa, których Karliński nie rozumiał i pojąć nie potrafił znaczenia, wyrwała mu rękę i uciekła. Julian pozostał jak wryty.

Calej tej sceny cichym świadkiem był prezes, który na nią patrzył zdaleka, i gdy Pola oddaliła się, widząc jak synowiec padł na pobliską ławkę bezsilny, zbliżył się powolnie do niego.

— Co to ci? czyś nie chory? spytał siadając przy nim.

— Nie...

— Nudzisz się, choroba niecierpliwej młodości, odparł stary, nic innego, potrzeba ci koniecznie przejechać się, odświeżyć...

Juljan potrząsł głową.

— Miałem właśnie, rzekł, doskonały projekt przejażdżki

dla ciebie i chciałem ci towarzyszyć, pojedziemy razem...

— Dokąd?

— Zobaczysz... Z dwóch powodów potrzeba ci koniecznie myśleć o ożenieniu; naprzód charakter twój tego wymaga, powtóre interesa...

— Ale ja nie pojmuję ożenienia bez przywiązania... rzekł oburzony Julian... powiedzieć sobie ożenię się, to coś barbarzyńskiego...

— Ożenię się, gdy mi się podoba — poprawił się stryj, to zawsze warunek *sine qua non*; ależ żeby się co podobało potrzeba szukać; a że wiemy iż inaczej jak bogato nie podobna ci się ożenić, pojedziemy szukać ci stosownej partji.

— Bogato! ubogo! ale ja nie chcę, rzekł zniecierpliwiony Julian, robić z tego spekulacji.

— I ja też, zimno odparł prezes... Zresztą jeśli ci się podoba być ubogim i zaślubić ubogą, zrobisz co zechcesz; radbym tylko, żebyś w takim razie dobrze wiedział co cię czeka...

— Cóż? praca?

— Oprócz tego, oszczędność wielka i naturalnie zmiana życia zupełna... Wygód do których przywykłeś, życia jakie wiedziesz od dzieciństwa, wyrzec ci się potrzeba i zastosować do nowego stanu... Rachowałem właśnie, kochany Julianie, że w takiej hipotezie, pozostałoby ci, oddzielając się od Emila i Anny, mniej więcej dusz czterysta, z długiem bankowym i jakimi kilkudziesiąt tysiącami innych dłużków... Zrobić ci to może *netto* dochodu, przy najszcześniejszych okolicznościach i pracowitem gospodarstwie, około trzydziestu tysięcy złotych, procenta pożrą połowę. Zostanie ci się na życie do trzynastu tysięcy... Juściż z tem wyżyć

można, ale mi się zdaje, żeś ty dotąd po tysiąc rubli lub mało co mniej na cygara wypalał?... Konie lubisz... krawiec cię kosztuje do pięciu tysięcy rocznie... uważasz więc, że się bardzo ograniczyć wypadnie?

Juljan słuchał roztargniony, zrozumiał jednak, bo spojrzał na stryja z przestrachem i słowa zamarły mu na ustach. Prezes mówił dalej:

— Ubóstwo bardzo ładnie wygląda w książce, tak jak odarte chałupy na obrazach flamandskich, ale w nichby nie mieszkał ten kto je malował; trzeba być dobrze zahartowanym, żeby nie spowszednieć pod żelazną ręką nędzy, nie skwaśnieć i nie stać się istotą pospolitą, zgryźliwą, prozaiczną... ale są ludzie co z wielką siłą i takiej zmianie losu podolać umieją. Dla tych co wyrosli w ubóstwie stan to jak inny, ze wszystkiem się człowiek zrasta; dla nas próba ciężka.

— Bośmy zepsuci, kochany stryju...

— Zepsuci, niezawodnie, rzekł prezes... ale diabło trudno się poreperować; ja przynajmniej co do mnie, już się naprawiać nie myślę... ty jak chcesz... Nade wszystko chciałbym cię widzieć swobodnym i szczęśliwym. Widzisz, że nie jestem ani napastliwy, ani despotyczny; proszę cię tylko, żebyś pomyślał co masz robić i dozwolił mi z sobą próbować szczęścia... Wątpię żebyś już był zakochany... a zatem, jako młody, mając potrzebę kochania i usposobienie ku temu, kto wie czy się nie zajmiesz którą z tych jakiebym ci życzył. Zrobmy małą przejażdżkę po okolicy?... he?

— Bardzo chętnie, odpowiedział Juljan, ale...

— Na co ale... ja ci nie ujmuję swobody, zrobisz co zechcesz; odwiedziny do niczego nie obowiązują...

Nazajutrz prezes i Juljan siedzieli w powozie, a Kar-

liński nie wiedział jeszcze dokąd jechać mieli; wszystko mu było jedno; obojętny dawał się wieść nie pytając nawet, i o pół mili dopiero prezes skierować kazał do miasteczka Sytkowa.

— A! do Gerajewiczów! zawołał Julian wychodząc z zadumania.

— Zgadłeś mnie, odparł stary z uśmiechem — do hrabiego Jerzego Kara-Chan Gerajewicza... śmieszna figura! zgadzam się, dom śmieszny, pretensje ogromne, ale nie ma dowodów, żeby jego genealogja od Chanów Krymskich była zupełnie fałszywą; tytułik ma austriacki, wychowanie jak wszyscy, próżności trochę więcej... a co najważniejsza, córkę jedynaczkę i kilka czystych milionów, które jeszcze oszczędnością pomnoży...

— Ludzie nudni!

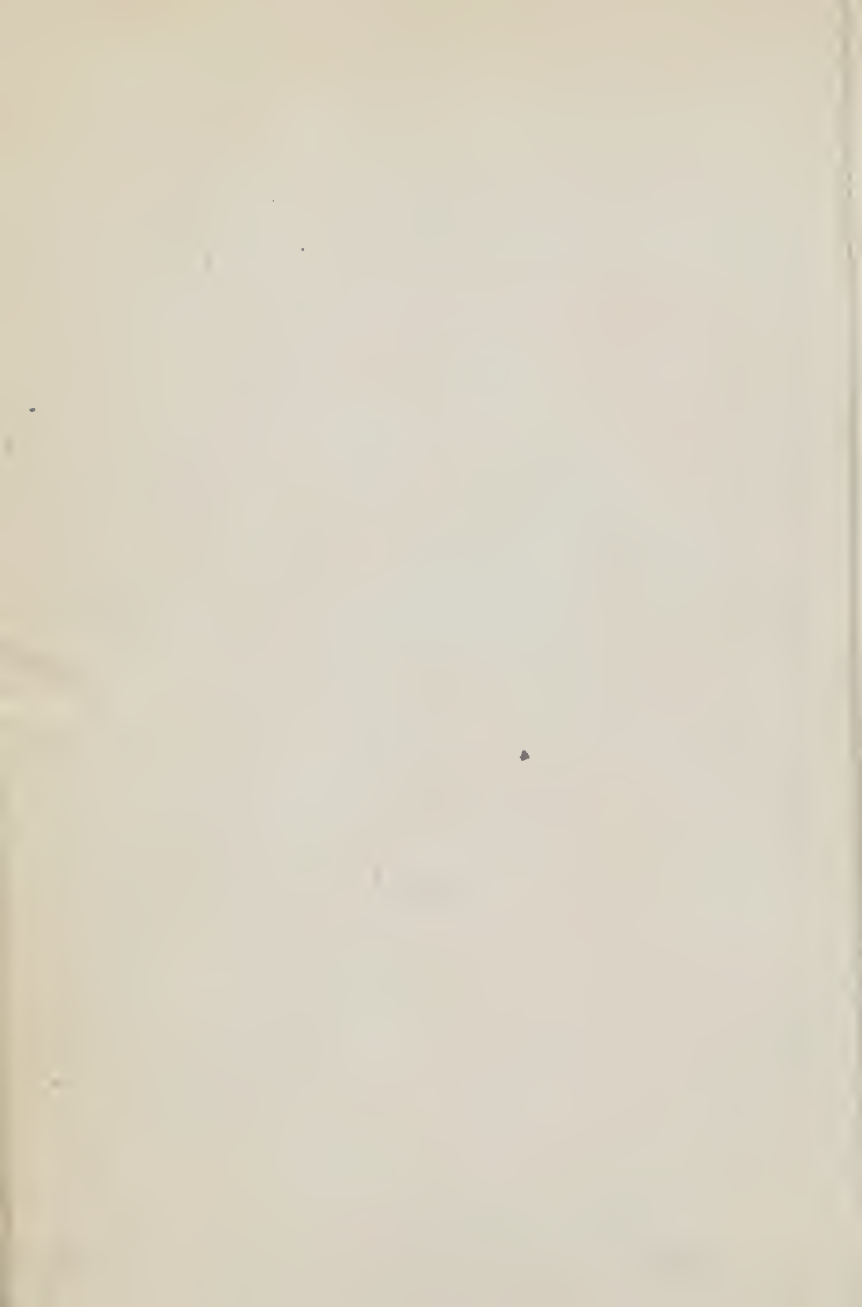
— Śmieszni tylko, to trochę lepiej, przerwał prezes — nasłuchamy się muzyki do syta, napatrzymy osobliwości, najemy przysmaków, zobaczysz pannę i powrócim z zapasem śmiechu na kilka tygodni... Co się tyczy fortuny, dodał prezes, majątek ogromny, kapitały na bankach, re-manenta, długu ani grosza, a Sytków o parę mil od Karlina i folwarki z sobą graniczą... Przyznam ci się, że Pan Bóg jakby umyślnie stworzył pannę Zenobję Gerajewiczównę dla któregoś Karlińskiego!

Juljan się wzdrygnął.

— Pamiętaj, że cię nigdy do niczego ani namawiać ani zmuszać nie będę, zrobisz co zechcesz... westchnę nad tobą, ale ci wolę własną, najdroższą człowiekowi zostawię... Bądź tylko w dobrym humorze w Sytkowie... nie chcę by mnie posądzano o ciągnięcie cię mimowoli... trochę wesołości nie powinno cię kosztować...

KONIEC TOMU CZWARTEMU.





Biblioteka Raczyńskich

JIK **1420**



JIK1420